ROK II. Nr. 29 (78) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 20 lipca 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



SZWEJK NA TYŁACH. (Paramount, Metro).

BRUNO WINAWER.



Kanikuła



Zdaje mi się chwilami, że to było wczoraj, czy onegdaj... Człowiek ogorzały,, człowiek o kolorze „zupy pomidorowej“ był jakąś postacią śmieszną, dziką, niezwykłą, operetkową. Panie nosiły gęste woalki z białemi, gęstemi kropkami, „krew z mlekiem“ była ideałem poetów i nowelistów. Architekci budowali „podcienia“ przy modrzewiowych dworkach...

Każdy poważniejszy romans zaczynał się i kończył w „cienistej“ altanie. Ludzie siadali pod dębem i szukali chłodu pod lipą. Gaik liściasty wzruszał do łez subjekta i właściciela fabryki, prawdziwa dama nie ruszała się z domu bez parasolki.

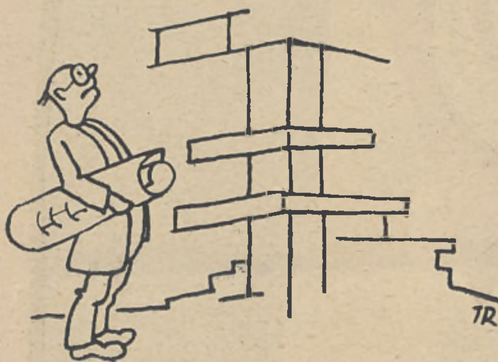
Dziś... Jak się czasy zmieniają!

Chodzimy wyłącznie po słonecznej stronie ulicy. W kawiarni stolik rozpalony do czerwoności, ma największe powodzenie. Na każdej kupie rozgrzanego piasku tłumy nagusów wystawiają plecy, lędźwie, uda, bicepsy, łopatki, i „łyżeczki“ na działanie najmocniejszych promieni.

Świat się zaroił od ludzi śniadych, brunatnych, bukszpanowych, orzechowych, hebanowych.

W pewnym sezonie jedna z orkiestr zakopiańskich sprowadziła sobie z zagranicy prawdziwego, oryginalnego mulata. Biedak musiał się ukrywać przez cały dzień i wychodził tylko wieczorami. Był za blady, odbijał nieprzyjemnie od warszawiaków na urlopie i wstydził się.

Budowniczy nowoczesny pogardza werandami, daszkami, krytemi podjazdami, obmyśla tarasy, marzy o kwarcowych szybach i domach, któreby się, jak słoneczniki, obracały za światłem.



Panie nietylko zapomniały o woalkach, ale nawet brwi golą, bo i to w pewnych warunkach przeszkadza w równomiernem „opalaniu“.

Staliśmy się wszyscy czcicielami słońca, zazdrościmy murzynom czerwonoskórym, mieszkańcom Oceanji i „Poganin“ ma największe powodzenie w kinie.

Latem wyjeżdżamy — za ulgowym paszportem — do Afryki, na Sycylję, na Saharę, na pustynię arabską, zimą pędzimy za światłem w góry na nartach. „Biała“ rasa istnieje tylko w geografji, normalny Europejczyk zajmuje stanowisko pośrednie między murzynem i Czypewajem. Jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy nawet musieli zreformować zlekka księgi stanu cywilnego i kto wie, czy „Monitor“ nie zamieści wkrótce ogłoszenia:

Zmiana nazwisk: Fogelfus na *Sępie Oko*, Kobylski na *Dziki Mustang*, Dratew na *Napięta Cięciwa*. Sprzeciwy należy zgłaszać w ciągu trzech miesięcy od daty dzisiejszej...

Moda, jak widać, nie zawsze jest kapryśna, filuterna i nierozsądna. Czasem porzuca nagle zawiłe, kręte ścieżki i biegnie spokojnie za nauką i trzeźwą wiedzą techniczną.

Bo właśnie fizyk i inżynier doszli w ostatnich dziesięcioleciach do bardzo ciekawych wniosków, i — żeby tak jednem słowem rzecz całą określić — i oni są dziś namiętnymi „czcicielami słońca“.

Od wieku pod kotłami niezliczonych maszyn spalamy całe góry — Alpy i Himalaje — węgla, od lat czterdziestu puszczamy z dymem w motorach całe rzeki — Amazonki i Niagary — nafty i wreszcie w umysłach poważniejszych powstała kwestja: co będzie dalej?



Karmimy płynnem i stałem paliwem przeszło *miljard* sztucznych, automatycznych ludzi, którzy nas w ciężkiej pracy zastępują, albo — jeżeli kto woli — żywimy *trzysta miljonów* tęgich koni motorowych. To bractwo ma świetny apetyt, pożera co dzień tonny, wagny, ładunki okrętowe antracytu, koksu, benzyny, zapasy odwieczne topnieją co godzina, co minuta...

I pewnego pięknego poranku strapiony inżynier spojrzał okiem poety na naszą poczciwą gwiazdę dzienną.

Przeprowadzono badania, zmierzono starannie insolację. Kilka — dość prostych — wyliczeń za pomocą suwaka rachunkowego. Rezultat? Zdumiewające rzeczy kryją się czasem w zwykłych trzeźwych cyfrach.

Ta wiązanka promieni, którą słońce rzuca na ziemię, zawiera tyle energji, że jej działanie *czterominutowe* znaczy więcej, niż fury „czarnych diamentów“ i tanki benzyny, spalone przez rok okrągły na całym globie.

I wszystkie złoża najprzedniejszego antracytu, wszystkie bogactwa pól naftowych azjatyckich, rosyjskich, meksykańskich, kalifornijskich, wszystkie skarby, o które toczymy zażarte walki na giełdzie i przy zielonym stole w gabinetach ministerjalnych — otrzymujemy właściwie gratis i franco, bo trzy dni — tylko trzy dni — operacji słonecznej stanowi energetycznie *większą pozycję*, niż to, co się tam przez lat miljardy nagromadziło we wnętrzu ubogiej ziemi.

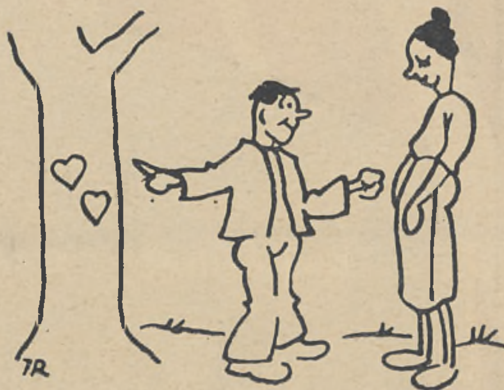
I teraz nowy duch wstąpił w wynalazców, inżynierów i konstruktorów. Szkicują po dniach i nocach wielkie lustra wklęsłe, różne zwierciadła paraboliczne, budują kotły z przezroczystego kwarcu. Powstaje powoli nowy dział wiedzy ścisłej i trzeźwej — *Technika Słoneczna!*

Będziemy poprostu... palili *słońcem pod kotłami*. Wielki przemysł zagarnie wszystkie wydmy piaszczyste, ugory, pustki, nieużytki i tam rozgrzana promieniami para wodna ładować będzie lekkie akumulatory i te bańki, nabite energją elektryczną, poślemy dopiero w różne końce świata.

Powstaną wytwórnie i warsztaty na mieliźnie pod Zawichostem, na plaży pod trzecim mostem, na polanie pod Urlami i Baniochą.

Kucharka Wikcia kupi na targu trzy blaszanki po 15 kilowatogodzin i to starczy na obiad, kolację, oświetlenie domu i wycieczkę samochodem do Konstancina.

Wyrobnik w czystym kitlu manewrować będzie zwierciadłami na tarasach słonecznych. Zapomnimy o kopalniach węgla, o norach, podkopach, odkrywkach, podziemnych strumieniach ropy. Zapomnimy o ciężkiej „kreciej“ robocie i przeniesiemy ludzkość pracującą na jasne równiny.



Niebywale upalny czerwiec nie będzie zwiastunem klęski, ale — przeciwnie — ożywi ruch handlowy i wywoła niezwykłą konjunkturę finansową i nieoczekiwaną frekwencję w teatrach.

Blada twarz stanie się zjawiskiem nieprawdopodobnie rzadkiem w zaułkach miejskich i ludzie na jej widok szeptać będą, zdumieni:

— To chyba jakiś szalenie bogaty człowiek... Jak on się tak mógł ukryć przed słońcem? Z czego on żyje?

Takie mi chodzą myśli po głowie, kiedy termometr wskazuje 35 st. C.

W cieniu...



W agitacji „ghandystów" udział wzięły również kobiety.

Kobieta hinduska w świetle prawdy

Tak zwana „kwestja kobieca", czyli walka o równouprawnienie, dotarła do najdalszych zakątków świata, wszędzie budząc kobietę z wiekowego uśpienia. Wojna i lata powojenne wydatnie przyśpieszyły ten proces.

Na kongresie wiedeńskim, który przed kilku tygodniami zgromadził przedstawicielki organizacyj kobiecych, wszystkich prawie narodowości, nie zabrakło i delegatek z bliższego i dalekiego Wschodu.

Nie wszędzie jednak na Wschodzie ruch kobiecy rozwija się w jednakowym stopniu. Gdy z jednej strony wprawia w podziw stanowisko, jakie już zdobyła obecnie kobieta turecka — głównie dzięki gorącemu poparciu ze strony Kemala Paszy, położenie Hindusek mało co się zmieniło od wieków.

W walce o należne swe prawa kobieta hinduska pozostała w tyle.

Składa się na to mnóstwo przyczyn: w pierwszym rzędzie natury religijnej, choć i względy ekonomiczno-polityczne niemniejszą odgrywają rolę w tym wypadku.

Europejczyk, zwiedzający Indje, nie ma sposobności dokładnego zapoznania się z rzeczywistą istotą charakteru kobiety hinduskiej: wie o niej coś nie coś ze słyszenia. Religja nie zezwala bowiem kobiecie na branie jakiegokolwiek udziału w sprawach, wykraczających poza sferę interesów rodzinnych; we własnym domu — odseperowana od mężczyzn — mieszka osobno w tak zwanej kobiecej części domu — z cudzoziemcami nie styka się już wogóle. Nie wchodzą tu w rachubę żony arystokratów, maharadży, gdyż w ostatnich czasach nie różnią się one niczem w ubiorze, obejściu, nawet wychowaniu od swych siostrzyc europejskich.

Wierne odbicie życia dzisiejszej kobiety hinduskiej — kobiety z masy, dała w swej książce, zatytułowanej: „Niewolnicy bogów" Mrs. Catherine Majo. Będąc sama hinduską miała, jak rzadko kto, sposobność dokładnego zaobserwowania przejawów życia swego narodu. Sfery konserwatywne hinduskie po ukazaniu się książki Mrs. Majo, obrzuciły tę ostatnią gradem wyrzutów, oskarżając ją o propagandę idącą na rękę imperjalizmowi. W rzeczywistości, faktem jest, iż Mrs. Majo miała dość cywilnej odwagi nazwania rzeczy po imieniu. Ukazała w swej książce kobietę hinduską, jej życie, stosunki rodzinne, z całem mnóstwem szczegółów w prawdziwem świetle. Nie jej wina, że światło to okazało się tak ciemne. Autorka wychodzi z założenia, iż ciężkie swe położenie kobieta hinduska w pierwszej linji zawdzięcza barbarzyńskim kanonom religji, według których kobieta jest istotą zgóry upośledzoną, nieczystą. Bogowie stworzyli ją bowiem jedynie w tym celu, by służyła swemu mężowi, rodziła mu synów, a jak dawny zwyczaj nakazywał — po jego śmierci ginęła ze zwłokami w płomieniach stosu.

Narodziny dziewczynki uważane są w Indjach za „karę bożą", kilkakrotny taki objaw niełaski bogów upoważnia męża według praw hinduskich do opuszczenia żony. Fakty takie nie są bynajmniej rzadkością.

Hindusi w sposób całkiem szczególny radzą sobie z nadwyżką narodzin dziewcząt. Do jakich uciekają się zabiegów — wiadomo, dość jednak, że dzieci płci żeńskiej nader często przychodzą na świat nieżywe, co dziwnym trafem, bardzo rzadko zdarza się, gdy chodzi o chłopców.

Narodziny syna — to główny cel życia Hindusa, bogacza, czy nędzarza: to widoczna łaska bogów. Barbarzyński zwyczaj zabijania noworodków płci żeńskiej ma swe podłoże w niesłychanej nędzy ludu: za córkę bowiem dawać trzeba pokaźny posag, a mało kto może sobie na to pozwolić.

Wierzenia Hindusów zalecają wydawać córkę w 10 — 12 roku życia za mąż. Biedacy radzą sobie, sprzedając poprostu swe nieletnie dziewczynki starszym, lub wręcz starym mężczyznom, niejednokrotnie chorym i zniszczonym.

Mrs. Majo przytacza w swej książce, między innemi, fakt zabójstwa takiej nieletniej, którą jej okrutny właściciel wyrzucił przez okno, uważając się za oszukanego przez rodzinę dziecka za dostarczenie mu niedorozwiniętej fizycznie „żony" (nawiasem mówiąc, 9-letniej dziewczynki).

W książce swej porusza też autorka, ze zwykłą swą prawdomównością i kwestję tak zwanej „służby bożej" w świątyniach, której nie omieszkała nazwać właściwem mianem, t. j. prostytucji. Służbę tę pełnią dziewczęta, odznaczające się wybitną urodą, w pierwszych latach życia oddane przez rodziców-biedaków do domów bożych. Są one w rzeczywistości metresami braminów, ich przyjaciół, a nierzadko zmuszane są do oddawania się przygodnym bogaczom, aby tym sposobem przysparzać dochodów swym chlebodawcom.

Najgorsze nieszczęście dotyka kobietę ze śmiercią męża: w tym wypadku bez różnicy przynależności kastowej czy stanu majątkowego. W znaczeniu moralnem i ona od tej chwili żyć przestaje: rola jej w domu zmniejsza się do minimum, nie styka się z nikim, nie wolno też zawierać jej ponownego małżeństwa. Wiedzie życie najbardziej smutne, wzgardzona od wszystkich, religja bowiem uważa śmierć męża jako „karę bożą", zesłaną na niegodną istotę.

Takie i tym podobne sprawy porusza Mrs. Majo w „Niewolnikach Bogów".

Niedorzecznością byłoby jednak mniemać, iż stan dzisiejszy w Indjach nigdy nie ulegnie zmianie. Mimo fanatycznego przywiązania ludności do starych form religijnych, rząd angielski, tępiąc bez litości wszelkie objawy barbarzyństwa, związanego z wierzeniami Hindusów, niejeden już uczynił wyłom. Rzadko słyszy się teraz o wypadku spalenia wdowy, zabójstwa noworodków płci żeńskiej, karzą Anglicy z niesłychaną surowością, a ostatnio rząd wystąpił przeciwko ogólnie przyjętemu zwyczajowi zawierania małżeństw między małoletnimi. Rząd angielski wyznaczył już termin, wzbraniający tych małżeństw. Hindusi na ten zakaz odpowiedzieli masowemi ślubami maleńkich nawet dzieci, w obawie, że te, mając po 15—18 lat,

(Dokończenie na str. 16-ej)



Na międzynarodowym zjeździe kobiet, Indje były licznie reprezentowane.

Z „WICHREM"... NA STRZELANIE

„Wicher" w Gdyni. Wielkie rzeczy — powiedzą ci, których sprawy morza i floty „zasadniczo" nie interesują. — Powieje sobie i przejdzie...

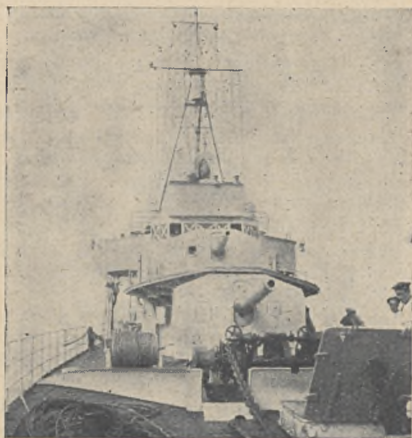
Nie o taki zwykły „Wicher" tu jednak chodzi. I nie będzie on „wiał" nigdy. Kto raz poznał marynarzy naszych, ten wie, że słowo ucieczka w ich terminologji nie istnieje.

Albowiem nie o wiatr — żywioł tu chodzi. A o pierwszy, naprawdę bojowy, okręt odrodzonej „armaty wodnej", Rzeczypospolitej. O kontrtorpedowiec, jakiego nie posiadało i nie posiada żadne z państw bałtyckich. O nową jednostkę, dzięki której wzmaga się znaczenie politycznе państwa, jego prestiż, jego bogactwo. Przybycie „Wichra" do Gdyni to moment epokowy w dziajch Polski odrodzonej.

1550 tonn, 33.000 koni parowych, 33 węzły (61 km-godz.) szybkości, 4 działa trzynastocentymetrowe dalekonośne, dwa przeciwlotnicze, dwa przeciw łodziom podwodnym, dwa potrójne aparaty torpedowe, urządzenie do stawiania min i wyrzucania granatów głębinowych — oto zasadnicze elementy tego nawskroś nowoczesnego okrętu.

Wślad za nim przyjdzie siostrzana „Burza". A mamy nadzieję, że niebawem zamówimy, lub jeszcze lepiej, zbudujemy w kraju nowe jednostki tego typu. Albowiem warunki strategiczne i geograficzne na naszem wybrzeżu wymagają przynajmniej tuzina takich okrętów.

Skąpo nieco jest z kredytami, ale tu społeczeństwo samo, rozumiejące zakusy wrogów na polskie Pomorze — nasze jedyne okno na świat — winno przyjść z pomocą. Nawet w ospałej



Baterja na dziobie O. R. P. „Wicher".

Rosji budowano takie okręty („Nowik" i inne) ze składek narodu. Nie mówiąc już o Niemcach, Szwedach czy Francuzach. Czyż mielibyśmy być gorsi? Czyż byśmy znowu mieli chęć utracić „wolność morską", bez której żadne państwo swobodnie egzystować nie jest w stanie?

— Luzuj! Obie maszyny wolno naprzód!

Wielki zwodzony most arsenału zamyka się powoli. Trzy holowniki — małe pracowite insekty, oddają liny i ostrożnie odchodzą. Za rufą „Wichra" woda poczyna się lekko pienić, mącona parą potężnych śrub.

Wzdłuż burty defilują zwolna oba olbrzymie mola, zamykające wejście do Cherbourga. Za niemi ukazują się szare sylwety amerykańskich pancerników, przybyłych tu w odwiedziny. Na pokładach grają trąbki, a marynarze ustawiają się frontem do nas. To flota Gwiaździstej Bandery wita pierwszy okręt floty Białego Orła.

— Obie maszyny małą naprzód!

Lekki dzwonek telegrafu maszynowego i woda za rufą poczyna pienić się szybciej. Jeszcze chwila i mijamy ponury bastjon fortu wyspy Pelee. „Wicher" przed ostateczną podróżą do Polski, wychodzi na próbę swych dział.

Na mostku dowódca, spokojny, choć czujny. Dzień dzisiejszy to dla niego gorąca przeprawa. Ale na twarzy młodego komandora nie znać najmniejszego zakłopotania.

Tuż, obok, oficerowie, członkowie komisji nadzorczej i odbiorczej, przedstawiciele stoczni francuskiej, w której „Wicher" ujrzał światło dzienne. Na pokładzie kapitan-artylerzysta opatruje swoje pupilki — cztery piękne, na błękitno pomalowane armaty Schneidera. Kanonierzy przygotowują łuski, pociski, wyciory, sprawdzają mechanizmy. Tak w stajni wyścigowej, przed wyścigiem, masztalerze oglądają swoje konie.

I tu żadnego zdenerwowania, choć pierwsze to „prawdziwe strzelanie". Załoga niedawno przybyła z Polski, nie miała jeszcze okazji faktycznego wypróbowania „cacek". Z drugiej zaś strony nie brak odstraszających przykładów.

I tak w różnych flotach bywały wypadki pękania dział przy próbnem strzelaniu. Wypadki



Otoczny kłębami pary „Wicher" wychodzi z Cherbourga.

te niejednokrotnie miały krwawe następstwa. Znów w marynarce rosyjskiej zdarzył się fakt, że po daniu salwy burtowej puściły nity kadłuba i zalany wodą okręt musiano przyholować do stoczni. Bywały nawet wypadki przewrócenia się, albo rozpadnięcia po salwie. Inżynierowie swoje, a żywioł swoje. To też pierwsze strzelanie jest zawsze egzaminem nietylko sprawności załogi, ale i wartości okrętu.

— Obie maszyny pół naprzód. Na prawo pięć!

Cyrk wzgórz, otaczających Cherbourg, z wysoką, ukoronowaną napoleońskim fortem górą Roule, wykręca powoli za rufą „Wichra". Z szybkością piętnastu węzłów płyniemy teraz na północny-wchód.

— Alarm bojowy!

Długie lufy dział zwracają się to w jedną, to w drugą stronę, unoszą, opadają, balansują w powietrzu, niby kartonowe zabawki. Wreszcie unieruchamiają się z lewej burty. Siedzący w bocianiem gnieździe bosman daje znać, że sektor ogniowy wolny. Można strzelać.

Urwana komenda. Podwójny ryk syreny. A wślad za tem mały przedsmak piekła.



Pierwsza salwa armatnia pierwszego polskiego okrętu bojowego.

Wzdłuż burty „Wichra" wykwita poczwórny pióropusz gorącego płomienia. Jak piekielny podmuch smaga po twarzy, oślepia. Jednocześnie potężny łoskot wstrząsa powietrzem, a pokład drży pod nogami. Kolubryny nasze przemówiły.

Chwilę wszyscy stoją oszołomieni, tak wymowną jest perora dział. Ale tylko chwilę. Bo wnet po tem każdy z ciekawością patrzy na zegarek. Chodzi o przekonanie się, ile strzałów padnie na minutę.

Trudno patrzeć na sekundnik, bo od ciągłych wstrząśnień faluje blacha pokładu, a stojący na nim podrygują zabawnie. Jeden z marynarzy, dotknąwszy się niebacznie blaszanej balustrady, zostaje oparzony, tak silną jest siła wibracji. Uszy, zatkane watą, puchną literalnie. Ale nic to. Za chwilę przekonamy się, co warte działa i ich obsługa.

Z ponurym świstem suną w dal wielkie stożkowate pociski. Przez lornetkę widać wyraźnie, jak hen w dali padają w morze, wzbijając niby potworne gejzery, wysokie słupy wody. Biada temu, ktoby się w zasięg naszych trzynastek dostał.

Gorący oddech dział, niczem podmuch samumu, chłosta nas niemiłosiernie, odrzuca ciekawszych od poręczy. Raz po raz smugi ognia wykwitają miarowo, z coraz wzrastającą szybkością. Oficerowie patrzący na zegarki, ba nawet poważny dowódca — uśmiechają się wesoło.

Bo nic to, że działa dobre i okręt dobry. — Takie być powinny. Ale załoga, ledwo wyćwiczona, dokonywa istnych cudów. Przy pierwszem strzelaniu osiąga szybkość ognia, jaką w marynarkach cudzoziemskich otrzymują dopiero po kilku mozolnych ćwiczeniach.

Aż radość chwyta za serce gdy popatrzeć na tych kanonierów. — Grand, fort et bête, — mówiło o nich stare przysłowie z czasów króla—słońca, kiedyto zadanie kanonierów polegało na strzelaniu à bout portant w nieruchomy okręt wroga.

Dziś jest wprost naodwrót. Aby zostać kanonierem trzeba posiadać nielada inteligencję, zimną krew, lotność umysłu i wytrzymałość. Nowoczesna artylerja to dziedzina naukowa, w któ-



Pokład „Wichra" i działo przeciwlotnicze.

rej każdy musi posiadać spory zasób wiedzy.

Strzela się na dziesiątki kilometrów, do celów czasem niewidocznych, a szybkich, jak pociąg kurjerski. To też nasi granatowi chłopcy uwijają się jak muchy w ukropie. Ale z każdego ich ruchu przebija radość, zadowolenie, umiłowanie ofiarnego zawodu, duma, że oni to właśnie są pierwsi.

Niestety, ze względu na tajemnicę wojskową, nie mogę podzielić się z czytelnikami wszystkiem, co widziałem. Nie mogę podać ani szybkości strzałów, ani donośności dział, ani cudownego wprost, elektrycznego sposobu kierowania ogniem. Wiedzcie jednak, że rezultaty były więcej, niż zadawalające.

Po kwadransie ogień milknie. Długie żądła wyciorów poczynają przesuwać się łagodnie wewnątrz gwintowanych luf. „Wicher" zawraca ku Cherbourgowi. A my — zebrani w obszernej mesie oficerskiej, dzielimy się wrażeniami.

Jeden temat i jedno ogólne mniemanie: pieniądze, wydane na budowę tych obu wspaniałych okrętów, będą bezpowrotnie stracone, o ile wślad za „Wichrem" i „Burzą" nie przyjdą inne — jeszcze potężniejsze jednostki. Tylko ciągłość i programowość pracy może nam dać wartościową marynarkę wojenną. A wiadomo, że tą ostatnią mieć musi każdy naród, dbały o swe bezpieczeństwo i dobrobyt, tak w czasie wojny, jak i w czasie pokoju.

Kapitan Nemo.

J. MISIEWICZ.

Letnie kradzieże sezonowe

Mamy już poza sobą ten okres, gdy wystarczało wyjrzeć w dowolnej porze dnia na którąkolwiek szosę podmiejską, aby spostrzec doroczne w owym czasie widowisko: wielką wędrówkę służących, sunących nieprzerwanym sznurem wozów na górach dobytku pańskiego— na wieś, na letnisko. Umęczone mieszczuchy, szczególniej zaś mieszczki, powynosiły się już z miast i korzystają w całej pełni z dobrodziejstw świeżego powietrza. Tę miłą sielankę musimy jednak trochę zakłócić przypomnieniem, że jest to nietylko sezon dla letników, ale i dla złodziei letniskowych; lepiej przytem, jeśli zakłócimy wiejską sielankę zawczasu, w formie przyjaznego ostrzeżenia, aniżeli miałoby się to stać w postaci dotkliwego napomnienia przez złodziei.

Pamiętajcie tedy, że na spokój wasz czyha letniskowy złodziej. Niech to was jednak nie wzbija w zbytnią dumę, nie sądźcie bowiem, że na waszą letniskową chudobę łaszczyć się będzie złodziej „solidny": jeśli was okradnie, to zazwyczaj taki sobie „patałach", zwany w gwarze „przypadkowcem". Specjalna ta kategorja przestępców rekrutuje się ze złodziei niższego rzędu, nie posiadających większego wyrobienia, ani specjalności, a tem samem nawet i poważania w kołach złodziejskich. W tych bowiem sferach, podobnie jak na całym świecie, specjalność jest ceniona jako wskaźnik poważnego traktowania swej pracy; może to być taki niski szczebel specjalności, jak kieszonkowiec, łaszczący się na byle chusteczkę, ale niech jakaś specjalność będzie. Tymczasem taka przypadkowa marnota chwyta poprostu, co mu pod rękę wpadnie.

I tu trzeba zauważyć, że szczególniej letnicy nastręczają mu tego sporo pod rękę, w sposób beztroski pozostawiając niezliczoną ilość przedmiotów bez dozoru. To jakaś poduszka, to przerzucony przez parkan szczegół suszącej się bielizny, to szczotka, czy niedbale rzucona miska — wszystko to mile jest widziane przez „przypadkowca", który niczem nie pogardzi. A już szczególniej służące pokładają tu wielką ufność w opiece Boskiej — ufność tem większą, że chodzi wszak o przedmioty, będące własnością domu.

„Przypadkowiec" letniskowy operuje chętnie w dzień, kiedy to przebywający na powietrzu letnicy, przypisujący w dodatku światłu dziennemu przesadną moc odstraszania złodziei — rozrzucają po obejściu wszelakie możliwo dobro. Trudno mu kręcić się tak, bez powodu, przeto chętnie przybiera postać żebraka, osoby, poszukującej jakiegoś niestworzonego letnika, handlarza obnośnego i t. d. Nie mamy tu na myśli stałych dostawców nabiału, drobiu, owoców i t. d., jednak jeśli chodzi o handlarzy przygodnych, szczególniej tych, co to chwyci byle pęczek kwiatuszków i już jest kupiec — to należy mieć w pamięci, że odpowiedni przepis policyjny nie darmo zakazuje handlarzom wędrownym wchodzenia po zachodzie słońca do obcych domów i zagród. Nie zawaha się zresztą „przypadkowiec" i przed wpadnięciem do samego mieszkania, jeśli mu się zdarzy okazja. Chwilowe pozostawienie mieszkania bez dozoru wystarcza mu w zupełności, cóż dopiero mówić o sposobnościach lepszych. Do tych należy pewien, dość rozpowszechniony zwyczaj, któremu, jako zasługującemu na szczególne potępienie, poświęcimy trochę więcej miejsca. Posłano służącą po jakiś sprawunek. W międzyczasie zachciało się państwu iść na spacer, a służąca, która zawadziła po drodze tu i ówdzie, nie wraca: w rezultacie poirytowani długiem czekaniem państwo, rezygnują z miłego spaceru. Od czegoż jednak głowa na karku? Wpadają wtedy na świetny pomysł, że na przyszłość, ilekroć będą chcieli wyjść, w czasie nieobecności służącej, zostawiać jej będą klucz na jakimś gwoździku, powiedzmy we framudze drzwi, czy pod słomianką, czy też w jakiemś innem, „sprytnie" pomyślanem schowanku. O skutkach tego rodzaju pomysłów nie potrzebujemy się rozwodzić.





Operując chętnie w dzień, nie gardzi „przypadkowiec" i ciemnością. Szczególnie zaś upodobanie czuje do zmierzchu, jest to bowiem pora, kiedy z pobliskich trawników, ławeczek, hamaków, leżaków ściągają letnicy do domów, pozostawiając sprzątnięcie różnych rzeczy służącym, które nie zawsze czynią to w takiem tempie, jakby t oleżało w intencjach chlebodawców. Pora wieczorna jest pozatem szczególnie sposobna do ściągnięcia czegoś z werandy, z ganku, a nawet z okna, często wprost z pod ręki. Szczególniej podczas kolacji, gdy wszyscy domownicy skupiają się w tym celu w jednem miejscu, pozostawiając szereg pomieszczeń bez dozoru, wytwarzają się warunki przyjazne dla złodzieja. Typowym przykładem może tu służyć banda, która w roku ubiegłym grasowała w jednem z naszych uzdrowisk: szajka ta obrała sobie za cel działalności właśnie porę kolacji, podczas której plądrowała z dobrym skutkiem po pokojach pensjonatowych, opuszczonych na ten czas przez ich mieszkańców dla zgromadzenia się we wspólnej jadalni.

Następuje noc. Jeśli to może być jakiem pocieszeniem dla poszkodowanego, to trzeba zauważyć, że kradzieży w nocy z zamkniętego mieszkania nie podejmuje już zwykły „przypadkowiec" — a bardziej wykwalifikowany złodziej mieszkaniowy, zwany w gwarze „klawisznikiem". Oczywiście, że zamknięte okiennice stanowią tu dla złodzieja zaporę nielada. Bądź co bądź trzeba w nich wypiłowywać otwór, co jest rzeczą zarówno pracowitą, jak i zdradzającą związanym z tem szmerem; następnie trzeba wytłoczyć szybę, co wprawdzie dla specjalisty jest rzeczą osiągalną, jednak wymaga wielkiej ostrożności, jeśli się zważy, że trzeba przedtem naciąć odpowiedni otwór djamentem, a następnie wytłoczyć nadcięty kawałek dłonią, obłożoną warstwą kleistej masy, zważając, by wytłaczany kawałek nie odlepił się i nie upadł. Tak, czy owak, okiennice stanowią na tyle poważne zabezpieczenie, że nie należy nigdy zapominać o zamykaniu ich. Jest to rzecz ta koczywista, że nie wspominalibyśmy o niej, gdyby nie fakt, że pożal się Boże, widywaliśmy wielu takich, którzy zaniedbywali tej najprostszej ostrożności. Wypada przytem ubolewać, że przeważna część mieszkań letniskowych, położonych na piętrach, nietylko że nie jest zaopatrzona w okiennice, ale posiada ponadto takie ułatwienia dla złodziei, jak werandy i ganki, jakby stworzone do wspinania się do piętrowych okien. W każdym bądź razie skrupulatne ukrywanie drabin przenośnych w zamkniętych schowkach, zamiast pozostawiania ich na dworze, jest ze wszech miar wskazane. Tem więcej, że są specjaliści, którzy i bez tego potrafią się dostać do otwartego okna czy lufcika, wspinając się wprost po ścianie, ku czemu wykorzystują jej nierówności w postaci gzymsów, różnych wgłębień, wystających ozdób, rynien i t. p. Wybierają zaś w tym celu porę, kiedy sen człowieka jest zazwyczaj najsilniejszy, a więc początek nocy lub zbliżający się ranek. Z żalem przytem musimy stwierdzić, że nie sposób podać, któremu z tych okresów dają złodzieje pierwszeństwo, rzecz ta bowiem przez nich samych nie jest ustalona. To niezdecydowanie przypisać należy zapewne temu, że zagadnienie, kiedy człowiek śpi najmocniej, nie zostało dotychczas rozstrzygnięte na podobieństwo pewnej innej kwestji, nad którą w znanej, starej piosence głowi się od lat owa sławna pani, „pytając się zcicha młodego doktora, czy lepiej jest z rana, czy lepiej z wieczora".

Wróćmy jednak do miasta, gdzie całe masy mieszkań pozostają bądź zupełnie bez dozoru, bądź pod dozorem samego pana domu, który choćby z natury swych zajęć nie jest w stanie otoczyć mieszkania taką opieką, jak to bywa w czasie normalnym. W swoim czasie, jeśli będziemy mieli sposobność opublikowania artykułu na temat zabezpieczania mieszkań w ogólności, poświęcimy tej kwestji więcej miejsca — tutaj ograniczymy się do podkreślenia, że jeśli wyłożenie pieniędzy na dobre zamki zawsze się opłaca, to tembardziej w okresie letniskowym. Nie zawadzi przytem przypomnieć, że przezorne wyniesienie cenniejszych przedmiotów w bezpieczne miejsce jest bardzo wskazane. Z tem tak prostem zaleceniem wprost krępowalibyśmy się występować, gdybyśmy nie mieli od czasu do czasu do czynienia z kradzieżami z opuszczonych mieszkań, nawet tak cenniejszych przedmiotów, jak: futra, srebra stołowe i t. d. Nie badaliśmy szczegółowo kwestji asekuracji mieszkań na czas letniskowy, z tego jednak, cośmy słyszeli od osób, które tego środka próbowały, możnaby sądzić, że związane z tem warunki są wcale przystępne. Jednak może jednym z najpewniejszych środków jest obiecanie swemu dozorcy odpowiednio łakomej premji, jeśli mieszkanie po powrocie z letniska zastanie się w porządku: zwiększony wskutek tego nadzór, ze strony odpowiednio zainteresowanego dozorcy, w olbrzymio przeważającej ilości wypadków okaże się owocny.

Nastaje moment powrotu ze wsi i tutaj powtarza się ta sama historja, co przy wyjeździe: na poboczach dróg, w rowach przydrożnych, na samych wreszcie drogach czyha plejada złodziejaszków. Zwyczajny zabieg, polegający na prze-

(Dokończenie na str. 16-ej).



JIM POKER.

LIST Z FRANCJI

Kraj dzielił się na dwie części. Po jednej ciągnęły się długie, piaszczyste pola, upstrzone tu i ówdzie kępkami karłowatych sosen. Niskie, kurne chaty, słały w niebo ciemne strugi dymów. Rozłożona na piachach stacja drażniła czerwonym dachem błękit niebios.

Tuż za stacją ciągnął się łańcuch stromych, lesistych wzgórz. Linja, dotąd dwutorowa, przebijała je czarną sztolnią jednotorowego tunelu. I zaraz po tamtej stronie zaczynała się druga część kraju.

Zgubione pomiędzy dzikiemi górami, tkwiły głębokie, granatowe jeziorka. Dziewiczy las krył w sobie tysiączne niespodzianki. Po jadowitych bagnach pełzały straszliwe jaszczury. Zwierzęta z okresu dyluwialnego pasły się na mrocznych, nieznających słońca polankach. Dymiły gejzery i szumiał dziko odwieczny bór. A linja — wąziutkie pasemko ludzkiej woli — ciągnęła się nieśmiało wśród bagien, skał i jarów, czepiając się stoków, wspinając na zbocza, skacząc przez otchłanne rozpadliny.

Długa, niska, drewniana grobla prowadziła przez główne moczary. Pociągi biegały po niej truchtem, dudniąc przeraźliwie. Potem następował nasyp, zakończony tunelem w stożkowatej skale. Z tunelu — prosto na śmiały, wysoko nad rwącym potokiem zawieszony most. Dalej znów cały system tuneli, galerji, mostów, wiaduktów, wykopów.

Stacyjki były maleńkie, z czerwonej cegły. Ludzi na nich prawie się nie widziało. Tor zarastał trawą i nierzadko pasły się na nim olbrzymie ichtjosaurusy i brontosaurusy.

Grabicki, szybując samolotem, widział cały ten kraj jak na dłoni. Właśnie z gąszcza leśnego wybiegł pociąg, zdążający w stronę spokojnego kraju. Wjechał na groblę i wyrzucił dwukrotnie ku niebu biały obłoczek pary. Grabicki zgadł, że to gwizdek, choć uszu jego nie doszedł najlżejszy dźwięk.

I naraz stało się coś dziwnego. Z lasu wybiegła Strzyga-Rusałka, skacząc po bagnie. Drobne jej stopy odbijały się od wody, unosząc ją w górze. Włosy — długie, czarne, przybrane kwiatami, powiewały na wietrze. Ręka, wyciągnięta w stronę pociągu, zdawała kogoś wołać.

A tymczasem puszcza zagrzmiała przeraźliwym rykiem i tupotem. Na plamistym jednorożcu wyjechała Zjawa Leśna, prowadząc za sobą stado przedpotopowych zwierząt. Dzikie mastodonty pomieszały się z krwiożercemi brontosaurusami. Ogony dinosaurusów wściekle biły wodę. Olbrzymie pterodaktyle unosiły się w powietrzu, zmierzając ku grobli.

Grabicki krzyknął na pilota i samolot, dotąd nieruchomo wiszący w powietrzu, zniżył lot. Zakołysał się straszliwie, wzięty w wir podmuchów puszczy. Ale wprawny pilot wyprostował go i Grabicki mógł bez przeszkody nacisnąć przyrząd, zwalniający bomby.

Pierwsza upadła w bagno i nie wybuchła wcale. Ale już druga trafiła w zbitą masę potworów. Bluznęła czarna, do smoły podobna, krew.

Nie bacząc na kruchość grobli, pociąg uciekał teraz całą siłą pary ku zbawczemu tunelowi. Grabicki gruchnął jeszcze dwa, czy trzy razy z bombomiotu i potwory pierzchły. Została Rusałka.

Posługując się helikopterem, pilot wylądował na położonej wśród bagna wysepce. Grabicki wysiadł i począł brnąć ku stojącej nieruchomo na wodzie. Wydawało mu się, że zjawisko wyciąga doń ręce.

I nagle z bagna wyłonił się jaszczur straszliwy, wobec którego krokodyle Kleopatry wydałyby się dziecinnemi zabawkami. Z trzaskiem rozwarł szczęki i chwycił Grabickiego za ramię. Żelazne kleszcze poczęły tarmosić przerażone ciało.

— Panie chorąży, panie chorąży, proszę wstawać! — ryczał jaszczur.

Gwałtowny ruch ręki, aby oswobodzić się z piekielnego uścisku. Bestja nie puszcza. Tarmosi coraz mocniej. Jednocześnie zaś ryczy zupełnie ludzkim głosem.

— Trzeba wstawać, panie chorąży. Alarm!

Tym razem Grabicki zrywa się i przeciera oczy. Ordynans Szulc puszcza ramię chorążego i chwyta za stojące w kącie buty. Jest już w hełmie i z granatami za pasem.

Zniszczone błękitne firanki, zasłaniające okno przedziału, pokazują swe dziury, przez które nieśmiało wdziera się rumiany majowy świt. Tuż obok parowóz pancerki syczy i mruczy, widać rozgrzewany na całego. Wzdłuż eszelonu słychać krzyki i nawoływania.

— Co za djabeł?...

— Będzie bitwa, panie chorąży. Nasz pierwszy eszelon, co poszedł w nocy, narwał się pod Góreczką na bolszewików. Dranie wykręcili lasze i wyrwali kosztyle. A szyn nie ruszyli. Pan porucznik Stanisławski jechał powoli, ale wleciał. Podobno pół pancerki leży w rowie, a bolszewicy do nich walą. O! słychać!

— Skąd wiadomość?

— Przyszedł meldunek z posterunku czołowego w Bierowie. Szwoleżer przywiózł.

— Dawaj buty i pas. Prędko!

— Aha, zapomniałem z tej prędkości. Jest list do pana chorążego.

I Szulc wyciąga z ładownicy błękitną, długą kopertę, opatrzoną francuską pieczątką i stemplem poczty polowej.

Trębacz pancerki gra już sygnał: Naprzód!

Zrazu szybciej, potem w miarę zbliżania się do wroga, coraz wolniej — jedzie pancerka. Grabicki jest na stanowisku w czołowym wagonie, przy kapitanie Wilczyńskim — dowódcy. Długa lufa polówki sterczy między nimi. Lornetki skwapliwie badają zbiegający się na horyzoncie stalowy szlak.

Grabicki wie, że list jest od Żermeny, słodkiej małej Francuzki, „mateczki wojennej". Mimo, że już z górą rok od rozstania, listy od niej przychodzą z dawną regularnością. I jak dawniej, są serdeczne i miłe, — może tylko odrobiną melancholji tchnące.

— Tam, za temi krzakami.

— Nie, panie kapitanie, to trupy tych, co to w zeszłym tygodniu...

Chorąży sięga myślą w dal. Rok 1917 w Szampanji. Kredowy labirynt poszarpanych okopów. Schron pod drogą rzymską. Chorąży Nowak — adjutant batalјonu.

— Słuchajcie, Grabicki, macie coś z tuzin tych „marrain". Odstąpcie mi choć jedną.

— A mam. Ale nie odstąpię. Jak chcecie, postaram się o świeżą dla was.

— Naprawdę?

— Zaraz napiszemy do „Fantasio". Takie pismo w Paryżu. To nic nie kosztuje.

I w świetle wbitej na bagnet łojówki powstaje przy akompanjamencie niemieckich granatów „list z frontu".

„Drogi Fantasio!

Jestem podoficerem, Polakiem, zgubionym w labiryncie okopów. Jest mi smutno. Postaraj się o „mateczkę" dla mnie. Będę ci wdzięczny".

Po tygodniu odpowiedź.

„Panie!

„Fantasio" przesłał mi Pański adres. Szukałam wprawdzie Anglika, ale odpowiedziano mi, że zabrakło. Wobec tego decyduję się na Polaka. O Pańskich ziomkach wiem niewiele. Podobno to naród rycerski. Sądzę więc, że się nie zawiodę.

Jestem młodą dziewczyną, mam lat 21. Ojciec jest wyższym urzędnikiem w ministerjum finansów. Nie mam braci, ale wszyscy moi kuzynowie są na froncie. Mam już jednego chrześniaka — Francuza, sądzę jednak, że powinnam się zaopiekować także i jednym cudzoziemcem. Walczą przecież za nasz kraj.

Aby nie powiedziano, że w czasie wojny nic nie robiłam, pracuję w dwóch instytucjach opieki nad rannymi i inwalidami. Muszę też pomagać matce w gospodarstwie, bo moja siostra jest zamężna.

Przeżywamy teraz w Paryżu ciężkie chwile. W nocy bombardują nas samoloty, w dzień Berta. Ale wytrzymamy. Krzepimy się myślą o was, o was.

Jeżeli osoba moja konwenjuje Panu, proszę napisać.

Bardzo szczerze

Żermena Chatron,

22, ulica Colisee, Paryż.

— Co ja mam z tem zrobić? — pyta Nowak.

— No, jakto, co? Odpisać.

— Kiedy nie umiem dobrze po francusku.

— Masz djable kaftan. Pisuję już listy dla całej kompanji. Teraz mam jeszcze pisać dla bataljonu.

— Nie gderaj, sierżancie, napisz.

I zaczęła się korespondencja. Grabicki czytał, pisał, wkładał własną duszę w odpowiedzi. Nowak był o tyle rozsądny, że po kilku tygodniach spostrzegł się.

— Słuchaj, bracie. Zabierz sobie tę „marenę". Za mądra dla mnie. Pisze, jak hrabina. A mnie trzeba dziewczyny prostej.

— Dobrze.

Nowak znikł, „wysłany daleko w tajemniczej misji", a na jego miejsce pojawił się Grabicki. Nie wspomniał, oczywiście, o szlachetnym podstępie. Nawiązał rzecz na nowo. Pisał ze czcią o swym przyjacielu, a jaknajskromniej o sobie.

Poznali się po czterech miesiącach, podczas wypoczynkowego urlopu. Ona, zgrabna, szykowna, miła brunetka, z filuternemi oczyma i ustami, które grzechu pragną. On — biedny podoficer, tułacz — „poilu", w wypłowiałych owijaczach, kąta własnego na obcej ziemi nie mający.

Zaopiekowała się nim gorąco a szczerze, z zapałem młodości. On zaś opiekę i hołdy przyjmował wdzięcznie, jakkolwiek z wielką wstrzemięźliwością. Mateczek miał poddostatkiem, od szkockiej Lady począwszy, poprzez szereg kobiet różnego wieku, autoramentu i narodowości, aż do wdzięcznej Aishy — czarnej modelki z „Cafe de la Rotonde". To też skromna i naiwna dziewczyna nie interesowała go zbytnio.

Ale już podczas drugiego urlopu nawiązała się między nimi nić sympatji, wywołana może rozłąką, może samotnością, może wspólnem niebezpieczeństwem. Sierżant spostrzegł, że woli Żermenę od innych. Dał jej w plutonie mateczek numer pierwszy.

Wszystko na świecie musi się skończyć, więc też pewnego listopadowego poranka tryumfalne głosy trąbek oznajmiły światu zwycięstwo dobrej sprawy. A z gruzów państw zaborczych powstała dumnie i orężnie Polska.

Pułk Grabickiego począł szykować się do drogi. Niecierpliwi powrotu do Ojczyzny wojacy, z utęsknieniem wyglądali końca dyplomatycznych rokowań. W międzyczasie chorąży przyjechał na dłuższy urlop do Paryża.

I wtedy stało się to, co zwykle bywa udziałem dwojga młodych: sympatja zamieniła się w miłość.

Żermena wyznała ją, pierwsza. Prosto, szczerze, otwarcie. A Grabicki, skądinąd turek, na płeć piękną wielce zażarty, — jakoś nie miał sumienia poczynać z tą cichą, uczuciową dziewczyną, jak z różnemi, żądnemi sensacji amerykankami. Powiedział jej wręcz, że nic nie ma, że żenić się z nią nie może, że jego zamek w Karpatach (każdy Polak w pojęciu Francuzki musi być szlachcicem i mieć zamek w Karpatach) leży w gruzach i że zrobiłby to bez ślubu, ale jakoś nie ma sumienia.

Za całą odpowiedź przytuliła się do niego i pocałowała w usta, nieśmiało i niezręcznie, ale w pocałunku tym był taki ogrom namiętności, że starego wygę przeszły dreszcze. — Czyżbym ją naprawdę kochał? — pomyślał.

I zastanowił się. Nie można. Lada chwila wyjedzie do Polski, a co potem dziewczyna sama zrobi?

Więc kochali się, jak Wołodyjowski z Baśką — wesoło, a czysto. Było im dobrze. I ani się spostrzegli, jak nastał dzień odjazdu.

Grabicki pamięta jak dziś. Platforma ostatniego wagonu — byle dłużej. Gorący, zmieszany ze łzami pocałunek.

— Nie płacz, mała Żermenko — wrócę.

Ostry gwizdek naczelnika.

Słupki, podtrzymujące dach peronu, poczynają defilować. Zrazu wolno, potem coraz prędzej. Sylwetka Żermeny maleje. Budynek stacyjny ucieka w kierunku przeciwnym. Na peronie ludzie żegnają pociąg, powiewając chustkami. Są mu obcy.

Chlast. Mija ostatni słupek i wśrubowana obok marionetka zawiadowcy. Gdzieś, w dali, figurka w granatowym kostjumie biegnie za pociągiem.

Peron się kończy. Stalowy szlak rozbiega się. Wagon stuka na zwrotnicach. Coraz prędzej. Z hukiem mijają długie rzędy towarowych wagonów.

Grabicki wchodzi do przedziału i siada. Po-

wiedział, że wróci, ale czuje, że skłamał. Wciąż jeszcze widzi dziewczynę w granatowym kostjumie, patrzącą nań oczyma postrzelonej sarny. I słyszy wskroś łzy z trudem wymawiane słowa: Wrócisz, najdroższy, wrócisz...

— Szrapnelami! Trzy tysiące sześćset!

Bbbaach! Czerwony płomień. Trochę drapiącego dymu. Długi odskok smukłej lufy. Szum w uszach.

— Na lewo pięć!

Bbbaach!. Po każdym strzale działo przeciąga się rozkosznie. Ledwo dostrzegalny błękitny dymek unosi się nad paszczęką. Kanonierzy mechanicznie wykonywują czynności. Na ciągnących się wzdłuż toru błoniach rosną kwiaty. Słońce świeci wesoło. Ukryty w kącie wagonu, śpiewa świerszcz. Wojna.

Tiu-tiu-tiu — tiuuu. Tyk-tyk. Cóż to za osioł umieścił działo w krytym wagonie, wyjąwszy szczytową ścianę? I obstrzał mały i obsługa jak w pułapce, narażona na ogień z amfilady. Worki z piaskiem i blachy pancerne chronią tylko do połowy wysokości otworu. To też kule rykoszetują wewnątrz wagonu, aż miło.

Chorąży ma wrażenie, że jest aktorem, który się zbłaźnił na scenie i publiczność rzuca w niego ogryzkami. Tylko, że ogryzki są stalowe lub ołowiane, a wyjście za kulisy zamknięte. Pułapka.

List. List, jak inne. Tyle ich już wędrowało z rozradowanego pokojem Paryża poprzez doliny Wallonji, równiny Westfalji, pola Mazowsza, aż po ten zapadły kąt wołyński. Poczta polowa 29.

Myślał z początku ,że dziewczyna zapomni. *Loin des yeux, loin du coeur* — głosi francuskie przysłowie. Ale tylko natury powierzchowne zapominają. Tylko słabe uczucia giną przy rozłące. Silne, a prawdziwe potęgują się jeszcze.

Dobrze było Grabickiemu z temi listami. Bez nich czułby się smutny, osamotniony. Prócz tkliwości i serdeczności przynosiły mu tchnienie Zachodu. Zachodu, co już zapomniał. Podczas kiedy tutaj...

Listy rodziny i listy Żermeny były jedyną nicią, łączącą go ze światem. Pozatem nikt się o niego nie troszczył. I tak samo o wielu innych żołnierzy — tułaczy, z wygnania przybyłych.

— Czy tu u was niema chrzestnych matek?— spytał raz siedzącego w sztabie dywizji kolegę-porucznika.

— Owszem, są. Ośmioletnie dziewczynki. Albo takie panie, co dla nich matkować żołnierzowi to mało. To osoby, których skala poświęceń jest wprost bezgraniczna. Matkować muszą conajmniej całym pułkom konnicy. Ba, nawet brygadom i dywizjom. Co takaby robiła z jednym?...

— A skutek?

— Owszem. Dostanie żołnierz raz do roku święty obrazek i pięć kiepskich papierosów. A oficer nic wogóle. Cóż chcesz — u naszych kobiet szeroka natura. Zamiast matkować, niektóre same z karabinem na front powędrowały...

— Smutne.

— Jakbyś wiedział. Ale tylko dla nas. Tam, z tyłu, nie. Tam tańczy się „na żołnierza", urządza herbatki „na żołnierza", przedstawienia, maskarady. Któżby miał czas pisać, opiekować się indywidualnie jakimś obcym, przybłędą może?...

Grabicki pamięta doskonale tę rozmowę i z tem większym pieytzmem mnie w kieszeni list Żermeny. Gdyby go przeczytać?

Bbbaaach!

Cztery równoległe fontanny czarnej ziemi wypryskują po lewej stronie nasypu, zrywając świeżą darń. Groch odłamku młóci o pancerny bok wagonu. Na pobliskiej kałuży szerokie srebrne kręgi. Jakby kto kamieniem w ryby rzucał.

— Wymacali nas.

— A tak. Dwa tysiące dwieście. Na lewo 15.

Błękitnoskrzydła ważka wpadła do wagonu wraz z którąś z kul. Poseł życia z posłem śmierci. Teraz, machając zabawnie dwoma parami skrzydełek, siedzi na workach z piaskiem.

— Przed nami rzeka. Na dwa palce w lewo od rzeki wzgórze z krzakami. Na wzgórzu nieprzyjacielska piechota. Celownik dwa tysiące!

— Widzę!

Maszynki chorążego poczynają grać. Zrazu jedna, potem w mierę zbliżania się, druga, trzecia, czwarta. Grają zupełnie jak ów świerszcz w kącie, tylko dużo głośniej.

Słońce wciąż świeci, jakby nigdy nic. W rogu wagonu leży dwóch rannych żołnierzy. Polówka regularnie co 30 sekund ryczy basem, wypluwając ognistą pigułkę. Kule nieprzyjacielskich maszynek coraz częściej gwiżdżą koło ucha. Fontanny czarnoziemu wykwitają to po jednej, to po drugiej stronie toru, niszcząc cicho rosnące kwiaty, wyrywając krzewy, łamiąc długie badyle trzciny.

— Stój!

Patrol schodzi, by zbadać most. Zwolna, ostrożnie, żołnierze czołgają się w rowie. Grabicki spogląda na zegarek. Już pierwsza. Jakże prędko czas leci.

Możeby tak, zanim patrol wróci, przeczytać list. Ogień trochę przycichł. Widać, słabo tam u nich z amunicją.

Ręka i tak zaciśnięta na błękitnej kopercie z francuską pieczątką. Więc i wysiłek skąpy. Duże, zgrabne litery defilują przed oczyma.

„Przyjacielu mój najdroższy...."

— Co to jest! Żermena tak jeszcze nigdy nie pisała.

„Smutny będzie mój list dzisiejszy. I mam wyrzuty sumienia, że Ciebie, który tam daleko walczysz za Twą Ojczyznę, takiemi sprawami trapię. Ale nie mogę, nie mogę inaczej. Musisz mi powiedzieć..."

— Naprzód!

Most jest cały, oczywiście, w superlatywie. Albowiem wysadzano go już w powietrze coś z osiem razy: Moskale, Niemcy, Austrjacy, znów Moskale, znów Austrjacy, Ukraińcy, Polacy, Bolszewicy. Każdy kawałek jest innego systemu. A całość trzeszczy i ugina się, aż miło. Do tego artylerja bolszewicka koncentruje tu swój ogień.

Na przyczółku pół plutonu i dwie kartaczownice pod wodzą starego sierżanta. Pilnują drogi odwrotu. Patrol pozostaje przy nich.

— Dawno tu siedzicie?

— Od wczoraj. Już nas trzy razy atakowali.

— A że mostu nie zwalili?

— Nie zwalą. Nie mogliby potem do nas jeździć. Szrapnelami ino kryją, psiajuchy.

Teraz długi kręty wykop, bez obstrzału. Miejsce dla wrogiej zasadzki jedyne.

— Załoga wysiadać!

Grabicki ze swym plutonem wyskakuje na porośnięte trawą torfowisko. Cicho skradając się, dopadają żołnierze obu lesistych zboczy.

(Dokończenie nastąpi).

NA KANWIE PROCESÓW.

TRAGEDJA W MIASTECZKU

Pod biurkiem stał kosz.

W koszu, opróżnianym co rana przez sumienną gospodynię, leżały teraz tylko strzępy listu.

Niedobrą snać nowinę przyniósł list, bo zgniotły ręce czytającego, zanim podarły na strzępy.

A następnie bezsilnie opadła ręka, zacisnąwszy w garści papier, machinalnie przysunęła kosz; wyprostowały się palce i zmięte płatki papieru opadły na dno.

Nie wszystkie.

Trzy skrawki wymknęły się dłoni i porwane wiatrem, rozbiegły się po pokoju.

Jeden skrawek, wdmuchnięty pod skromną bibljoteczkę nauczyciela przyrody w szkole prowincjonalnej, — ukryty przed okiem ludzkiem, — nosił na sobie słowa podpisu „...ja Irena".

Drugi skrawek, większy, gnany przeciągiem, przecisnął się przez wąską szparę przymkniętych drzwi, przebiegł małą sień domku nauczyciela i, stoczywszy się po trzech schodach, przylgnął do wysokiej łodygi kwitnącego słonecznika.

Ten strzęp nosił na sobie słowa: „...domyśla się...".

Trzeci wreszcie zahaczył o drobniutką drzazgę zdartej podłogi i utkwił w środku pokoju.

— Ten — najbardziej ze wszystkich niepozorny, najbardziej zmięty — nosił na sobie słowa: „...nie przyjeżdżaj...".

I on był powodem wszystkiego.

*

Osiem kroków prawie wynosi odległość od ściany do ściany.

Drogę tę przemierza Władek, a właściwie Władysław Zgierz pięć razy na minutę.

Od g. 12 w południe (fatalny list został mu doręczony o g. 11 m. 30) przewędrował więc Władek tę drogę dziewięćset blisko razy, przeszedł przeszło czternaście tysięcy kroków.

Nie ulżyło.

Obiadu nie jadł.

O trzeciej poszedł do lasu.

Kładł się, wstawał, potykał się, obijał o drzewa.

Przeklęte rozumowanie przeżarło, zda się, mózg.

— Wiedziała i dawniej, że się domyśla... Czemu przedtem, kiedy chciał odejść, by tę zdradę z serca wydrzeć, by nie łamać życia im trojgu: Zygmuntowi, Irenie i sobie — czemu wtedy oplotła go spojrzeniem, czemu wtedy ręce na szyję zarzuciła, — czemu wtedy odejść niedała, a upiła go sobą, swojem cudnem, palącem, a zawsze głodnem ciałem — już na zawsze, na wieczność, na zatracenie?...

Nie myślała o niczem, nie rozumowała, nie lękała się ludzi: co mi tam zdrada — mówiła zduszonym (usta w usta) szeptem. — Mój ty... mój... mój... Teraz — rok już prawie od chwili kiedy oddała mu się po raz pierwszy — postanowiła wyjechać na lato z miasteczka.

Powiedziała mężowi.

Nie patrząc jej w oczy, odpowiedział Zygmunt:

— Jedź...

Wyjechała na wieś do matki.

A teraz — ten list...

Wniosek: nie kocha.

*

Męka całego dnia napięła nerwy do ostatniej granicy wytrzymałości.

Wstał.

Wyszedł z lasu.

Począł iść przed siebie. Bez celu.

Naprzód, byle naprzód...

Dopiero, gdy ujrzał żółty wysoki parkan, pojął, że zbliża się ku domowi Zygmunta.

Stanął.

Poco? Dlaczego?

Tak! Tak! Pójdzie do Zygmunta. Musi sprawdzić, musi spojrzeć mu w twarz, musi... musi...

A jak dojrzy tryumf w jego twarzy, jak dojrzy śmiech w zębach, to... nie wie, co się stanie...

Z mgłą w oczach i spiekłą raną w duszy wbiegł Władek na schodki małej werandy domku fotografa, Zygmunta Spólskiego.

Człowiek na przeciwległej stronie ulicy — aptekarz Arnold — patrzył na niego, osłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca.

(Dalszy ciąg na str. 21-ej)

Więzienia amerykańskie są piekłem na ziemi

Straszliwa katastrofa w więzieniu w Kolumbji, ofiarą której padło 300 więźniów z winy dozorców, gdyż ci zapóźno zdecydowali się na otworzenie cel — zwróciła uwagę całej Ameryki na tragiczne warunki bytowania w więzieniach amerykańskich.

Częste bunty więźniów w ostatnich czasach są dalszym dowodem, co za potworne stosunki panują w tych więzieniach i jak okrutnie obchodzą się władze więzienne ze swymi „lokatorami".

Wprawdzie niektóre więzienia amerykańskie słynne są na świat cały ze swych wzorowych urządzeń, gdzie więźniów przyzwyczaja się do regularnego życia, gdzie daje się im nawet rozrywki, przygotowuje do dalszego życia na wolności, ale, to są tylko nieliczne wyjątki. Zwrócić też należy uwagę, że w każdym z 48 stanów Ameryki, obowiązują sławne prawa, regulujące regime więzienny. System ten daje pole do niesłychanych nadużyć i przeważnie metody „wychowawcze", stosowane w więzieniach, daleko odbiegają od humanitaryzmu, a częstokroć przypominają czasy średniowiecznej inkwizycji.

Wiele więzień w wolnej republice amerykańskiej są postrachem dla najbardziej wyrafinowanych zbrodniarzy i „cieszą się" opinją piekła na ziemi. Do tych więzień-piekieł należy przedewszystkiem areszt centralny w Nowym Jorku, zasługujący w pełni na przezwisko „mogiła", dane mu przez świat przestępczy. Często wspominane jest w związku z krwawemi buntami więźniów — więzienie w Obern, inne znów, w Lewnoit' znane jest z tego, że wszyscy wyżsi urzędnicy tego więzienia, niedawno zamieszkali w celach, skazani za łapówki, szantaże i t. p.

Zwłaszcza w stanach południowych rygor więzienny przypomina zupełnie czasy niewolnictwa.

Wiele braków płynie stąd, że więzienia w Ameryce są nadmiernie przeludnione. Naprzykład w wyżej wspomnianem więzieniu kolumbijskiem, w czasie pożaru zamkniętych było 5.000 osób!

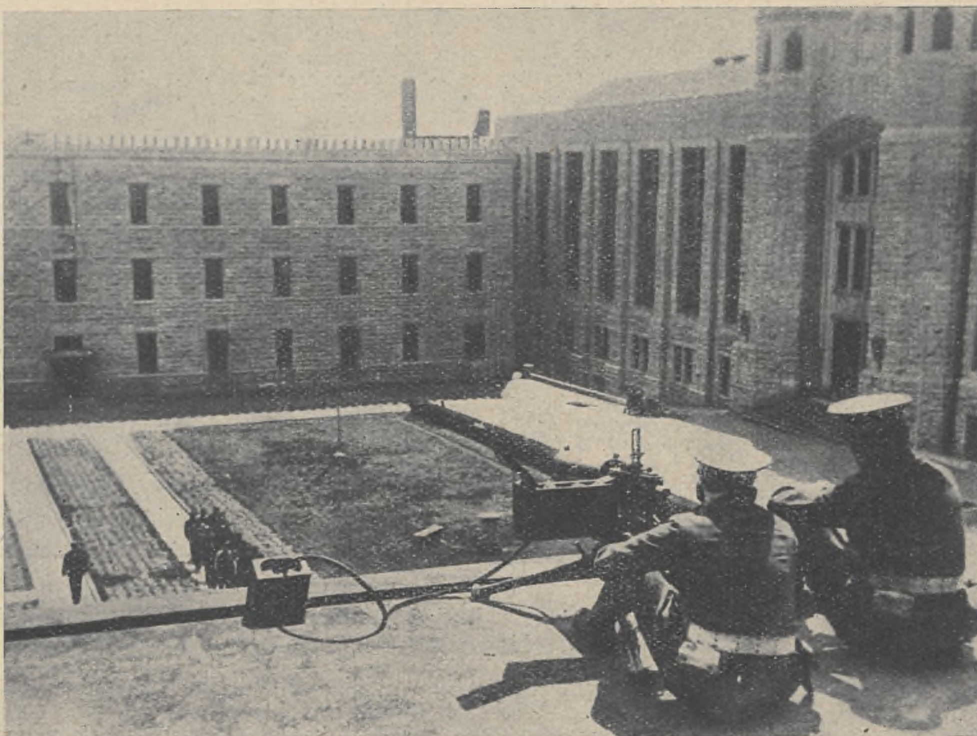
Tak wielka ilość aresztantów, skupionych w jednym gmachu, utrudnia regularną kontrolę nad nimi i sprawiedliwy, a bezpieczny podział prac. Prócz tego służba więzienna nie jest odpowiednio wyszkolona i przygotowana do swej odpowiedzialnej pracy, dla podtrzymania więc swego autorytetu obchodzą się z więźniami niezwykle surowo, a nawet okrutnie.

W więzieniach amerykańskich stosowany jest aż nazbyt często „trzeci stopień" badania, pozwalający na torturowanie aresztantów. Niejednokrotnie zdarza się, że w rezultacie „wymówek", czynionych przez dozorcę więźniowi, ten ostatni pozostaje ze skręconą, zwichniętą lub połamaną ręką czy nogą.

Zaznaczyć należy, że i sądy amerykańskie wynoszą niezwykle surowe wyroki. Fala przestępstw, która urosła w ostatnich latach do niebywałych rozmiarów, wywołała paniczny strach przed zbrodniarzami wśród całego społeczeństwa. Konsekwencje tego stanu rzeczy są dosyć oryginalne: jeżeli policji uda się złapać stosunkowo małą ilość bandytów, sąd wydaje wyrok na każdego z podsądnych, za jego własne grzechy i za winy wszystkich zbiegłych kolegów!

Metody „odstraszających przykładów" najczęściej są stosowane w więzieniach południowych stanów Ameryki, gdzie jeszcze dziś zwykłym obrazkiem są aresztanci-murzyni, zakuci we wspólny wielki łańcuch, pracując na ulicach miasta. Niekiedy system okrucieństwa w stosunku do więźniów dochodzi do takich rozmiarów, że sprawa staje się głośną i dochodzi do wiadomości społeczeństwa, a co za tem idzie, sądu i wyższych władz. Zdarzały się wypadki, że dozorcy oddziałów roboczych, żelaznemi kijami zabijali więźniów na środku ulicy — za drobne jakieś przewinienie. Znany był fakt, że jeden z nadzorców więziennych kazał wrzucić więźnia do płonącego pieca, gdzie nieszczęsny spłonął żywcem w strasznych męczarniach, innemu znów kazano wykopać własnoręcznie grób, poczem został tam żywcem pogrzebany.

Często praktykowany jest zwyczaj, że krnąbrnym więźniom, albo tym, którzy ośmielili się składać skargi, kazano... brać kąpiel: w pewnej zaś chwili basen napełniał się wrzącą wodą. Nieszczęsny, żywcem usmażony, ginął w piekielnych męczarniach.



Na straży więzienia amerykańskiego czuwa karabin maszynowy.

Londyńskie kluby

Kroniki Londynu zawierają pełne humoru karty, na których skreślone są historje najrozliczniejszych i zadziwiająco ekscentrycznych klubów.

Słynnym swojego czasu był tak zwany „No nose club" — „Klub beznosych". Powstał on na skutek konceptu niejakiego Crumptona. Mianowicie, gentleman ów, spacerując pewnego pięknego dnia po ulicach Londynu, zauważył wiele osób, pozbawionych tego nieodzownego, dla prawidłowego funkcjonowania powonienia, organu. Wtedy to narzucił mu się pomysł zorganizowania klubu pozbawionych nosa. Myśl swoją natychmiast zamienił w czyn. Każdego napotkanego beznosego, zamówił na pewien oznaczony dzień i godzinę do Doy Taresso na Drury Lane.

Kiedy w dniu oznaczonym, z wybiciem umówionej godziny na zegarze w Covent Garden, zebrał się tłum osób z okaleczonemi twarzami, amfitrjon przyjął ich wspaniałą ucztą, na której został zawiązany „No nose club". I tylko nagła śmierć pomysłowego wesołka przerwała rozwój pięknie zapowiadającego się klubu „płaskotwarzych". Ostatniem ich posiedzeniem była stypa pogrzebowa, wydana na cześć zmarłego Crumptona.

Istniał również „Klub szkaradów" (Ugly Fal ces). Stowarzyszenie to zostało założone przez pana Hatchet, którego zbyt wyraźne braki urody nadały mu przydomek: „Hatchet-faced Fellow". Mr. Hatchet, jak opowiadano, był właścicielem potężnych rozmiarów nosa, wagi conajmniej dwuch funtów, koloru mocno rubinowego, który przypominał korale indyka, i to w stanie groźnie zdenerwowanym. Odstraszający wygląd, a jednocześnie ogromna towarzyskość Mr. Hatchet'a zmusiła go szukać znajomości jedynie wśród upośledzonych na urodzie. Coraz znaczniejsza liczba „szkaradów", zbierająca się w jednej z tawern w City, nasunęła projekt utworzenia klubu. Przeróżne typy „piękności", należące do tego ekscentrycznego klubu, w ten sposób zostały opisane przez miejskiego kronikarza: „brody pokłute niby rogami, mordy niczem pięciolitrowe faski, nosy jak u nosorożców oraz obwisłe policzki; niejeden z członków klubu miał więcej na swej twarzy brodawek i kurzajek, aniżeli jeż kolców". Pomimo jednak swej odrażającej szpetoty, wszyscy ci gentlemani odznaczali się prawdziwie burszoskim humorem. Na swych wieczorach klubowych spożywali morza alkoholu i bawili się szampańsko wraz ze swemi „wstrętnotwarzemi" połowicami.

W roku 1869 został utworzony w Londynie klub, który, nawet w dzisiejszych czasach, wywołałby poruszenie. Oto sir Henry Blunt, znany dowcipniś na terenie Londynu, zaprosił do Bell Tavern, w Westminster, grono turystów i globtrotterów. Po niezliczonych kolejkach doskonałego wina, języki się rozwiązały, przyczem każdy z ucztujących starał się zadziwić swoich słuchaczów przygodami, jakie były udziałem jego podróży. Opowiadania te stały się wreszcie tak przesadzone i nieprawdopodobne, a łgarstwa tak wyraźne, że amfitrjon zaproponował zebranym utworzenie „Klubu łgarzy" (The Lying Klub). Projekt przyjęto przez aklamację, przyczem przystąpiono natychmiast do opracowania statutu. Warunki przyjęcia do klubu były dosyć trudne, a polegały na tem, że kandydat był poddawany wyczerpującym próbom, które kwalifikowały go jako pierwszorzędnego kłamcę. Inny punkt statutu zabraniał członkom posługiwania się tego rodzaju wyrażeniami, jak: „słowo daję", „słowo honoru", „jak Boga kocham" i t. p. Trzeci wreszcie punkt omawiał wybór przewodniczącego klubu. Prezesem mógł zostać członek, który wypowie największe łgarstwo. Ubieganie się więc o to zaszczytne stanowisko dawało pole do popisu w zakresie pomysłowości i fantazji.

„Surly club" — „Klub zrzędów" — składał się przeważnie z drobnych, ulicznych handlarzy, latarników, starych portjerów i dozorców oraz brzuchatych marynarzy. Lokalem reprezentacyjnym klubu był pewien szynk w dzielnicy Billingsgate-Dock. Celem klubu było pielęgnowanie ducha kłótliwości, oraz podniecanie się w operowaniu najohydniejszemi wyzwiskami. Z czasem klub stał się tak licznym, że wdowy po zmarłych członkach, które wykazały się umiejętnością kłócenia się i wymyślania, minimum przez trzy godziny, otrzymywały dożywotni wiatyk.

Podobnym nieco do poprzedniego był „Klub szaleńców" (Fools Club). Założyciele tego kluby wyszli z bardzo głębokiego, filozoficznego zagadnienia, polegającego na tem, że człowiek całe życie jest zmuszony myśleć rozsądnie, i że rozsądek też potrzebuje niekiedy odpoczynku. „Klub szaleńców" więc miał za zadanie, danie urlopu rozsądkowi. Podczas posiedzeń klubowych, każdy był obowiązany zachowywać się jaknajdziwaczniej i hałasować ile wlezie. Wszelkiego rodzaju rozsądne powiedzenia były karane natychmiast grzywną pieniężną, a zachowanie się zgodne z przytomnością umysłu powodowało usunięcie z klubu. Jednakże, jak opiewają kroniki klubowe, członkowie nigdy nie dawali powodów do tego rodzaju „gorszących" zajść, a każde z posiedzeń musiało być zakończone obfitem polewaniem zimną wodą zbyt rozbrykanych klubowców.

Jednym z słynniejszych klubów, przed jakimiś dwudziestu laty, był „klub milczących" (Silent-club). Źródło jego powstania leżało w biegunowo różnej dziedzinie od „klubu szaleńców". Organizatorzy uważali, że całodzienny hałas, jakiego są zmuszeni ludzie słuchać podczas swych codziennych zajęć, ujemnie wpływa nie tylko na system nerwowy, ale i na duchową stronę. Ucieczką od gwaru życia codziennego był lokal „klubu milczących". Wysokie kary pieniężne oczekiwały tego, któryby ośmielił się przerwać martwą ciszę, panującą w lokalu klubowym. To też posiedzenia członków wyglądały jak godziny modlitw trapistów. Na tem tle opowiadają zabawną anegdotę. Pewnego razu, kilku bandytów, znających przepisy klubowe, wtargnęło na salę posiedzeń, zagroziło zgromadzonym członkom rewolwerami, poczem zabrali się do opróżniania sakiewek i portfeli. Wszystko odbywało się w martwej ciszy. Wreszcie jeden z członków, którego nerwy nie wytrzymały, skoczył do okna, wybił szybę i zaczął drzeć się na cały głos: „Ratunku! Bandyci!" Na krzyk przybiegła policja i pochwyciła bandytów. W nagrodę za wyratowanie gotówki i kosztowności z rąk opryszków klubowcy wykluczyli swego wybawcę z pośród członków klubu, za odezwanie się na głos podczas posiedzenia.

Istnieje prócz tego wiele klubów, których członkowie rekrutują się z pośród arystokracji, a które posiadają nieraz wiekowe tradycje. Takim jest „klub kawalerów", mieszczący się na Hamilton-Place; członek klubu zostaje natychmiast z niego wykluczony, o ile wstąpi w związek małeżński. Może być również przyjęty zpowrotem, ale pod warunkiem, że zapłacił 25 funtów kary oraz, że podczas swego pobytu w lokalu klubu będzie nosił na plecach pantofel.

„Travellers club" — „klub podróżników" — przyjmuje na członka tylko tego, który przynajmniej raz w życiu oddalił się z Londynu na odległość 500 mil. Przepis ten, w dzisiejszej epoce samolotów, jest śmieszny, jednakże dla tradycji ściśle przestrzegany.

Wielki turniej „7 DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

W ciągu ubiegłego tygodnia dostaliśmy tylko masę głosów na p. Obarską.

Z powodu braku miejsca ograniczamy się na tej krótkiej notatce.

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Belgrad, sokoli i zlot

Na czerwono ubarwiła się w ostatnich dniach czerwca stolica Jugosławji. Około pięćdziesięciu tysięcy czerwonych koszul sokolich przeciągnęło górzystemi ulicami miasta, napełniając je gwarem, śpiewem i pozdrowieniami w kilku słowiańskich językach. Czesi, Słowacy, Polacy, Rosjanie-emigranci, Serbowie łużyccy, a przedewszystkiem Serbowie miejscowi, Chorwaci, Czarnogórcy, Słoweńcy — wszystko to mówi *słowem* podobnem, a jednak innem ,wszystko to porusza się nieco inaczej, zależnie od temperamentu narodowego. Nawet strój sokoli, zasadniczo podobny, ma szereg odmian. Czesi, dumni ze swego ojcostwa w sokolstwie, noszą kurtkę szarą o drobnych guzikach, długie buty, a czapkę mają czółenkowatą, czarną. Jugosłowianie noszą się podobnie, lecz w długich spodniach i w czapkach o czerwonem denku. Polacy mają grotgerowskie czamarki i rogatywki z daszkami. Rosjanie zapinają koszulę z boku (kosoworotka), a czapka ich szara o amarantowem denku siedzi głęboko na głowach. Wreszcie Łużyczanie noszą strój granatowy. Wspólna jest tylko wszystkim sokołom czerwień koszuli, acz w różnych odcieniach i sokole pióro u czapki, jednakże różnie noszone. Wspólna jest także idea, przez Tyrsza i Fugnera, wielkich Czechów, poczęta, a natychmiast przez ich naród oraz narody inne za swoją przyjęta. Przez sokolstwo Słowiańszczyzna buduje wspólną siłę, wyrzeka się waśni plemiennych, stwarza solidarność rasy. Już dla tego samego godna jest największego poparcia poszczególnych rządów słowiańskich ta więź organizacyjna, która zowie się związkiem sokolstwa słowiańskiego i która w roku 1923 u nas, w Warszawie, powstała. Jest to wiekopomna zasługa prezesa Zamoyskiego, iż skłonił sokołów innych narodów do podania sobie po bratersku dłoni.

Król Aleksander jugosłowiański z całą właściwą jego panowaniu konsekwencją uczynił ideę sokolą podwaliną wychowania fizycznego w swoim kraju. Nie krępując inicjatywy społecznej, podniósł ją i udostojnił przez pomoc państwową. Ba! Zjednoczył różne dotąd związki swego państwa w jeden, nazwał się pierwszym sokołem swego królestwa, a następcę tronu zamianował *ex officio* prezesem sokolstwa jugosłowiańskiego. Krok ten, uczyniony z całym taktem i pociągającą do współpracy na najwyższych stanowiskach związkowych dawnych sokolich dostojników, uczynił reformę popularną, prostą i łatwą do przyjęcia.





Urodziwe druhny czeskie.



Pochód druhów — sokołów.

Nie dziw tedy, że w ostatnim dniu zlotu, kiedy król doręczył sokołom jugosłowiańskim nowy sztandar związkowy, śladem kilku tysięcy sokołów obcokrajowych defilowało przeszło czterdzieści tysięcy Jugosłowian. Szły wsie całe w malowniczych, złotem szytych kostjumach, szły tęgim, mierzonym krokiem żołnierskim, a na każdej piersi był znak sokoli, a w każdej ręce — gałązka lipy, słowiańskiego drzewa. Skłaniały się sztandary przed jugosłowiańskim monarchą, jedynym na świecie królem słowiańskiej krwi i rodu. Pieśń „Hej, Sloveni", transpozycja muzyczna naszego mazura Dąbrowskiego, huczała potężnie po Belgradzie, budząc echa na granicach Słowiańszczyzny. Tak kroczyła przednia straż ludów, które już nie pozwolą, aby ich miano z pojęciem „Sclavus" łączono. To też idea sokola nie znajduje wcale uznania u Niemców. „Ach, wieder diese Slaven in ihren roten, wilden Sokolhemden..." Poselstwo Rzeszy interpeluje stale o udział Łużyczan w zlotach sokolich, nie mogąc zcierpieć, aby ktoś, kogo w Dreźnie „Schneider" nazywają, mógł wrócić w Białogrodzie do praojcowskiego miana „Krave" i mówić zrozumiałym innym Słowianom językiem.

Jeeżli zważyć w sobie wrażenia zlotowe, to rozbiją się one na trzy części: Belgrad, sokoli, zlot. O sokołach powiedzieliśmy na wstępie. Coś niecoś także o zlocie. Dodajmy jeszcze, że technicznie był to zlot udany. Piękne zawody i ćwiczenia gimnastyczne na specjalnie zbudowanem boisku były prawdziwą rozkoszą oczu. A zatem zostaje nam Belgrad.

„Habent sua fata oppida..." Ze stolicy księstwa, nawpół lennego, przez austrjacką awangardę germanizmu obleganego, Belgrad wyrósł na gród królewski ogromnego państwa. Znać w nim rozmach, znać potężne siły żywotne, które nurtują i strzelają w górę w postaci coraz piękniejszych, coraz celowiej stawianych gmachów. Okolica Belgradu podobna jest do olbrzymiej czaszy; na jednym ze skłonów rozsiadło się miasto. Pośrodku — malownicza góra Avala, klucz do bram belgradzkich, naturalne mauzoleum Nieznanego Żołnierza jugosłowiańskiego, który śni tam swój wieczysty sen. O kilkadziesiąt znowu kilometrów — Topola, gniazdo królewskiego szczepu karadżordżewiczów, z grobowcem mężnego króla Piotra. Pałaców nie szukajcie w Belgradzie. Nawet królewskie komnaty pro-

(Dalszy ciąg na str. 15-tej)



„Jeden jednego", czyli kleptomanja.

Co słychać na świecie

Rząd polski odpowiedział w d. 10 b. m. na francuskie memorandum p. Brianda w sprawie unji europejskiej. Podkreślając swą chęć współdziałania we wszystkich pracach konferencji europejskiej, rząd nasz staje jednak na stanowisku, iż problem unji europejskiej wymaga gruntownego zbadania i z tej też racji stawia wniosek powołania komitetu studjów, któryby zbadał problem i złożył raport rządom europejskim.

W odpowiedzi tej, a mianowicie w wysunięciu— w związku z propozycją p. Brianda—idei protokółu genewskiego widzą dzienniki angielskie chęć wskrzeszenia zasad, któreby dać mogły Polsce żądane bezpieczeństwo granic. Ewakuacja Nadrenji — dodaje jeden z tych dzienników — obudziła ponownie czujność Polski, co też znalazło wyraz w odpowiedzi na memorandum Brianda.

*

W Gdyni odbył się w ostatnią niedzielę szereg uroczystości o większem znaczeniu narodowem. W dniu mianowicie 520-ej rocznicy bitwy pod Grunwaldem odbyło się tam podniesienie bandery polskiej na okręcie R. P. „Dar Pomorza", nabytym ze składek społeczeństwa pomorskiego, — a dalej poświęcenie wykończonego już gmachu składni eksportowej i położenie kamienia węgielnego pod budowę gmachu państwowego banku rolnego.

Dowodami realnej, twórczej pracy święciliśmy więc na naszem wybrzeżu zarówno rocznicę wiekopomnego zwycięstwa nad Krzyżakami, jak i przegranego przez nas plebiscytu na Warmji i Mazurach.

*

W d. 14 b. m. przybył do Polski rumuński minister komunikacji p. Manoilescu. P. minister udaje się wprost do fabryki wagonów i parowozów w Chrzanowie, stamtąd do hut i kopalni górnośląskich, by następnie zwiedzic wystawę komunikacyjno-turystyczną w Poznaniu.

*

Mozolne, drobiazgowe śledztwo w sprawie pamiętnego zamachu na gmach poselstwa sowieckiego w Warszawie zostało uwieńczone pomyślnym wynikiem. Po długotrwałych mianowicie i niesłychanie trudnych poszukiwaniach ustalono, że osobnik, który dopuścił się zamachu, zbiegł do Jugosławji i tam też został aresztowany. Nazwiska jego jeszcze nie podano; wiadomo jedynie, iż nie jest on Polakiem, ani też, jak się zdaje Rosjaninem.

*

Poseł komunistyczny, Wołyniec, przybył w tych dniach do Wilna z Mińska, dokąd uciekł był w swoim czasie po unieważnieniu jego mandatu przez sąd najwyższy. Obecnie poseł ten wybrany został ponownie, w wyborach dodatkowych w Lidzie, co dało mu możność bezkarnego powrotu do Polski, gdzie znów zacznie prawdopodobnie prowadzić robotę wywrotową.

*

Prasa francuska omawia szerzej wyjaśnienie red. Sauerweina, współpracownika paryskiego „Matina", który poprzednio dość dwuznacznie wyraził się o roli, jaką Francja może odegrać w sprawie korytarza pomorskiego. W wyjaśnieniu swem p. Sauerwein oświadczył, iż zwrot korytarza Niemcom byłby zgubny dla sprawy pokoju.

Paryski „Figaro" przyjmuje to wyjaśnienie, niemniej jednak podkreśla, iż według dzienników niemieckich punkt widzenia francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych nie jest bynajmniej takim. Dalej dziennik paryski cytuje oświadczenie jakiegoś anonimowego parlamentarzysty francuskiego w „Dortmunder General-Anzeiger", jakoby francuskie środowisko dyplomatyczne być miało życzliwie usposobione dla sprawy rewizji granic, — by wreszcie zapytać, dlaczego p. Sauerwein zamieścił swe wyjaśnienie w prasie polskiej, a nie drukuje go w „Matinie".

Szczegół to istotnie intrygujący. P. Sauerweina możnaby posądzić tu o dwulicowość.

*

Głośny rewolucjonista rosyjski, Burcew, twierdzi, jakoby gen. Kutiepow został zastrzelony przez czekistów we Francji. Agenci, którzy się mieli „niezręcznie wywiązać ze swej misji", zostali podobno po powrocie do Moskwy rozstrzelani, główny jednak organizator zamachu przebywa jakoby we Francji.



Prof. dr. Karol Emil Frey, odkrywca nowych hormonów.



Gubernatorem Australji został sir Philip Game.



Jedynem zajęciem ex-króla Portugalji jest tennis. Podczas obecnych rozgrywek w Londynie został wybrany na arbitrą.



W tych dniach zmarł najstarszy kardynał Vannutelli, w wieku 94 lat.



Port w Galacie.

Trzy dni w Stambule

Spędził i opisał JOTES (JERZY SZWAJCER).

Ilustrował M. WALENTYNOWICZ.

Niedaleko, bo 8—10 godzin drogi (powietrznej) od Warszawy, na linji Kaczy-Dół—Otwock—Lwów—Konstantza, leży najpiękniejsze miasto na świecie—Stambuł, zwany za czasów haremowych—Konstatnynopolem. Zaraz na wstępie muszę Czytelnika poinformować, że ta dawniejsza nazwa, tak mile widziana przez dziennikarza polskiego, bo wypełniała bez trudu cały wiersz za 10 groszy, znikła dziś u Turków bezpowrotnie. Nie dość, że znikła, jest bojkotowana. List, niebacznie zaadresowany do Konstantynopola—jest zwracany wysyłającemu.



Na stambulskim „kercelaku".

Z Konstancy do Stambułu jedzie się morzem, nota bene Czarnem, nazwanem tak dla powodów, bliżej mi nieznanych. Drogę miałem wymarzoną, a przejazd wzdłuż Bosforu i dojazd do Stambułu był rozkoszą dla oka.

Oszołomionego wrażeniami ocucił mnie w Stambule, w westibulu hotelowym, portjer, żądając trzech (!) fotografji oraz wypełnienia całego szeregu formularzy. Zapytywano mnie po turecku, lecz w alfabecie łacińskim, o moje imię i nazwisko, o moją płeć i charakter, o imiona moich rodziców, krewnych i powinowatych, wreszcie stawiano mi dość niedorzeczne pytanie, dotyczące celu mego przyjazdu do Stambułu. Jakgdyby piękno Bosforu nie było już celem zupełnie wystarczającym.

Po nalepieniu znaczków pocztowych, kazano mi po dwa razy podpisać każdy z formularzy, a wreszcie oświadczono mi, że ze wszystkiemi temi papierami muszę iść do urzędu policyjnego, aby uzyskać wizę... powrotną. Na szczęście portjer hotelowy okazał się na tyle uprzejmym, że za głupiego dolara zaofiarował się sam formalność tę załatwić.

Stambuł jest miastem, stworzonem dla malarzy. W dzielnicy tureckiej miasta, jak okiem sięgnąć, gdzie tylko spojrzeć — same cuda perspektywy, linji, charakteru, stylu.

Twierdzenie, że Stambuł stracił, względnie zatraca swój pierwotny charakter wschodni — jest bezpodstawne. Ludzie, którzy zdanie to wygłaszają, nie zadali sobie niewątpliwie trudu zwiedzenia, a przynajmniej obejrzenia tych tysięcznych krętych, wąskich uliczek dzielnicy tureckiej. Odstraszały ich widocznie tamtejsze bruki, które, nie przeczę, mogą porządnie obcasy wykrzywić. Jedyna rzecz, jaka tam zanikła, to fezy. Odrobina jednak wyobraźni malarskiej wystarczy, aby Turków w fezy z powrotem ubrać, o ile wogóle to jest konieczne dla nadania pejzażowi charakteru egzotyczności.

W zaułkach Stambułu, a przedewszystkiem w jego dzielnicy staro-tureckiej (właściwy Stambuł), jak i w położonej po drugiej stronie Bosforu Galacie, nałykać się może wrażeń nie tylko malarz-pejzażysta, lecz także portrecista, a nadewszystko — karykaturzysta. Typy bowiem, jakie się tam spotyka, szczególnie wśród starych tragarzy i robotników portowych, wymagają oprawienia w ramki. Jeżeli można im cokolwiek zarzucić, to chyba to tylko, że występują masowo. Artysta w takim wypadku zatraca wrażliwość na cechy odrębne danego typu.

Nie będę tu dawał opisu miasta. Robili to już wielokrotnie inni, wierszem i prozą. Chciałbym jedynie podzielić się *wrażeniami*, jakich doznaje w tem mieście już nie-tylko, sądzę, karykaturzysta, ale każdy podróżnik, który podobnie jak ja, lubi zaglądać wszędzie, nie tylko od frontu, ale i od podwórza, nota bene bez Baedeckera w ręku.

Otóż, może to się niejednemu wydać dziwnem, ale rozpocznę swój opis od... kotów.



W stylu romańskim...

Stworzenia te, które w każdem innem środowisku europejskiem w życiu ulicy odgrywają rolę wręcz znikomą, tutaj występują bodaj na plan pierwszy, panosząc się w sposób nieprawdopodobny. Kroku niemal nie można tam postąpić, zwłaszcza w porze wieczornej, żeby jakiemu kotowi nie nastąpić na łapę. Duże i opasłe, małe i wychudłe, rasowe i nierasowe, wszelkiej maści, stare kociska i młode kociątka, bądź włóczą się środkiem ulicy ,napozór zupełnie bezcelowo, bądź leżą, grzejąc się na słońcu, bądź gromadnie zbierają się i obwąchują kupy odpadków i śmieci, pozostawianych stosownie do zwyczaju, co wieczór, pod domami na bocznych ulicach. Koty te żyją tam nie jak u nas, jako towarzysze ludzi, sublokatorzy, lecz raczej raczej obok nich, samopas. Nikt się tam o nie nie troszczy, ale i one niewiele się przejmują człowiekiem. Także z psami żyją w stosunkach, którebym określił formułą „laisser faire, laisser passer". Pies przejdzie obok kota i nawet nie poruszy ogonem; kot, spostrzegłszy psa, nawet nie mrugnie okiem. Będąc zdane na łaskę losu, koty nauczyły się tam samodzielności i stały się samowystarczalne. Utrudnia im jedynie życie przeludnienie w ich własnem gronie, bo też jest ich tam conajmniej kilkanaście w każdym domu.

Po kotach najsilniej uderza w Stambule wśród zjawisk codziennych, widok tubylczych tragarzy, których jest tam nieprzeliczona ilość. Tragarz taki, zreguły chudy i suchy jak szczapa, robi poważną konkurencję wielbłądom. Potrafi-ci on dźwignąć bez zająknięcia ciężary, do przenoszenia których używa się u nas platformy. Dla takiego faceta — jakby rzekł Słonimski — przeniesienie na plecach pianina — to igraszka.

Turcy mają jednak nie tylko mocne plecy, ale i głowy, używając jej dla celów lokomocji. Ze środka tego korzystają głównie handlarze domokrążni. Niosą oni na głowie olbrzymie płaskie kosze, napełnione wszelkiego rodzaju produktami, nieraz dość osobliwemi, jak morwy, oraz placki na oleju, na sam widok których przeciętny warszawianin może dostać niestrawności.

Handlarze ci — to plaga Stambułu. Chodząc po ulicy już od szóstej rano, napełniają ją wrzaskiem nie do opisania. Dźwięk, wydawany przez takiego pojedyńczego pana, przypomina coś między pianiem koguta a rykiem przestraszonego wołu. Hałas jednak, stwarzany przez nieprzebraną ilość tych handlarzy — staje się czemś nie do opisania.

W dzielnicy tureckiej spotyka się jeszcze sporo kobiet w charakterystycznych czarnych chustkach na głowie, przysłaniających usta. Rzecz jednak dziwna. Wśród kobiet tych nie spotkałem ani jednej takiej, któraby nie miała krzywych nóg. Tak, jakgdyby ów czarny strój był jakiemś piętnem,

dróżniającem kobiety w ten sposób, przez naturę upośledzone. A zresztą nie tylko w ten. Bo kobiety, w ów tradycyjny strój przyodziane, nie grzeszą nawet śladem urody. Mają twarze posępne, beznadziejnie pospolite, schorowane. Żywym kontrastem tych kobiet z ludu, jest turczynka, o typie urody haremowej, o kształtach aż nadto pełnych i zaokrąglonych, o grubych łydkach i wybujałym biuście. Kształtom takim towarzyszy zazwyczaj płaska i rozlana twarz.

Kilkakrotnie spotykałem na ulicach Pery (dzielnicy europejskiej) kobiety piękne i szykowne. Jak się jednak rychło przekonałem, były to... rosjanki lub francuski. Gdzie się natomiast pochowały na mój przyjazd wszystkie ładne turczynki, choćby te, wygnane z haremów — nie mam pojęcia.

Co do kobiet t. zw. lekkich obyczajów, od których niegdyś podobno roiła się Pera i Galata, to dziś nie widać ich wcale. W Warszawie, na odcinku od Chmielnej do Alei Jerozolimskiej jest dziś więcej tych pań, niż na wszystkich ulicach we wszystkich dzielnicach Stambułu. Taki stan rzeczy tłomaczy się rozporządzeniem władz tureckich, ograniczającem do minimum rozkosze zmysłowe.

już pierwszego dnia i odtąd przynosi tylko czysty dochód. Życzę wszystkim moim przyjaciołom, szczególnie tym, z dyplomami, aby osiedli w Stambule i zajęli się wypożyczaniem tych pantofli).

Jak dzielnica turecka miasta nie jest na tyle wschodnią, aby nie można tam było napotkac jakiegoś Cadillaca lub innej marki samochodu, tak też i dzielnica europejska, Pera, nie jest na tyle europejską, aby nie spotkać tam, od czasu do czasu, na tle imponujących gmachów bankowych lub eleganckich magazynow konfekcji osła, lub nawet wielbląda, dźwigającego towary.

Jeżeli chodzi o sklepy, to najczęściej się widuje cukierenki, sprzedające różne delicje, oraz ciastka o takich rozmiarach, że nasz Albrecht, zobaczywszy je, spłonąłby ze wstydu. Prócz cukierni istnieje przerażająca ilość sklepów z napojami chłodzącemi, moc kawiarni i owocarni i niemal tyleż... zakładów fryzjerskich. Odnosi się wrażenie, iż jeden fryzjer przypada tam na trzech mieszkańców, względnie, że każdy turek goli się trzy razy dziennie.



Allah il Allah!...



Jotes w haremie...

Zwiedzałem Stambuł sam jeden, zaopatrzony jedynie w mapę. Mapa, która jest wszędzie zagranicą wyłącznym moim przewodnikiem, tutaj jednak nie okazywała mi wielkiej pomocy z tego, zresztą dość niezwykłego powodu, że w Stambule nie ma tablic z nazwami ulic. Może zresztą i są, w każdym razie nie widać ich na miejscach, do tego przeznaczonych, ani na żadnem wogóle miejscu, widocznem gołem okiem europejczyka.

Zwiedzałem miasto bądź per pedes, bądź jadąc tramwajem. Jazda tramwajami, które, mówiąc nawiasem, są tam bez zarzutu, przyprawiła mnie parę razy o silne zdenerwowanie, powstałe na tle nieznajomości miejscowych zwyczajów. Oto powód: Pytam się posterukowego (dżentelmena suchotniczo chudego, ubranego w czarny mundur i spodnie oraz czerwone kepi), jak trzeba jechać w stronę meczetu Aja Sofja. Otrzymuję odpowiedź, iż tramwajem X. Nadjeżdża tramwaj X. Dla pewności pytam się konduktora: „Aja Sofja?" Konduktor kiwa głową przecząco. „Cóż u djabła — myślę sobie — co to za cymbał ten policjant!" Miałem ochotę udać się zpowrotem do mego informatora i powiedzieć mu parę przykrych słów, powstrzymała mnie jednak od tego słaba moja znajomość języka tureckiego.

Nadjeżdża inny tramwaj. Pytam konduktora (myśląc sobie: a może akurat ten): „Czy do Aja Sofja?" Konduktor skinął potakująco głową. Dumny i zadowolony, wsiadam do tramwaju i jadę. Jadę długo, bardzo długo. Dojeżdżam gdzieś do końca miasta, każą wysiadać, a meczetu Aja Sofja — ani śladu. Mocno już zirytowany, zwracam się po francusku do siedzącego obok mnie pana, prosząc o informację. Cóż się okazało? Oto, że wsiadłem w tramwaj, zupełnie nieodpowiedni, lecz nie z winy konduktora. Zarówno obaj konduktorzy, jak policjant, mieli rację, tylko że ją wyrażali na turecki sposób, różniący się radykalnie od sposobu, przyjętego na zachodzie. Mianowicie, pragnąc dać znak potakujący, turek macha głową w sposób, w jaki się u nas wyraża przeczenie, i odwrotnie.

Radzę szczerze tym wszystkim, którzy się do Turcji wybierają, by pamiętali o tym drobnym szczególe, co jest *nie*, a co — *tak*. Ja tę wiadomość przypłaciłem ceną jednego biletu tramwajowego, ale może być gorzej...



Pomijam już tę okoliczność, że można mieć tam teraz tylko jedną żonę, co, jak twierdzą bardziej ode mnie doświadczeni, i tak już czasami jest za dużo).

Żebraków widuje się w Stambule sporo, ale, oczywiście, nie tyle, co w Warszawie. Jest tam natomiast sporo natrętów, ugających się za przygodnym zarobkiem. Przybywszy okrętem do portu, trzeba użyć dużej dozy siły fizycznej, aby obronić walizkę przed naporem tych ludzi.

Przypatrując się życiu ulicznemu w Stambule dochodzi się do wniosku, że trudno jest tam o pracę i zarobek. Jedno tylko jest zajęcie lekkie i wygodne, a przynoszące wcale dobre dochody. Zajęciem tem jest wypożyczanie pantofli osobom, zwiedzającym meczety. (Jak wiadomo, do meczetu nie wolno wchodzić w obuwiu; trzeba albo je zdjąć, albo włożyć pantofle. Tutaj kapitał amortyzuje się


Cmentarz muzułmański

Czarna śmierć

Wielka, międzynarodowa rodzina górnicza, okryła się w tych dniach żałobnym kirem. Na kopalni Neurode, na niemieckim Śląsku opolskim, wydarzyła się katastrofa, pociągająca za sobą setki ofiar. Wybuch kwasu węglowego zaskoczył górników w głębi ziemi, zamknął im dostęp do szybu, przez co zostali skazani na straszną śmierć od uduszenia. Pomimo energicznej akcji ratowniczej, mimo bohaterskich wysiłków pogotowia kopalnianego, wyciągnięto same trupy. Ponury demon kopalni, jak corocznie, zażądał daniny z życia śmiałków, którzy odważyli się czerpać z bogatej jego skarbnicy. Tym razem jednak nie poprzestał na kilku ofiarach, ogarnął swoją chciwą dłonią wszystkie istoty, wdzierające się uparcie w jego przebogate łono.

Największa katastrofa, jaką zanotowały kroniki kopalniane, wydarzyła się w roku 1908, na szybie Radbod, w miejscowości Hamm, w zagłębiu Ruhry. Wtedy to zginęło 360 górników. Ostatnia, największa eksplozja w Dortmundzie, w roku 1925, pociągnęła za sobą 135 ofiar. Katastrofy, których mimo najdalej posuniętych środków ostrożności, nie można uniknąć, są na porządku dziennym. Dlatego też, tym dzielnym, czarnym od pracy i niestrudzonym bohaterom obowiązku, składamy na tem miejscu hołd i poważanie.



Przed szybem Neurode zbierają się wielkie tłumy, oczekujące z niepokojem wiadomości od brygad ratowniczych.

INŻ. EUGENJUSZ PORĘBSKI.

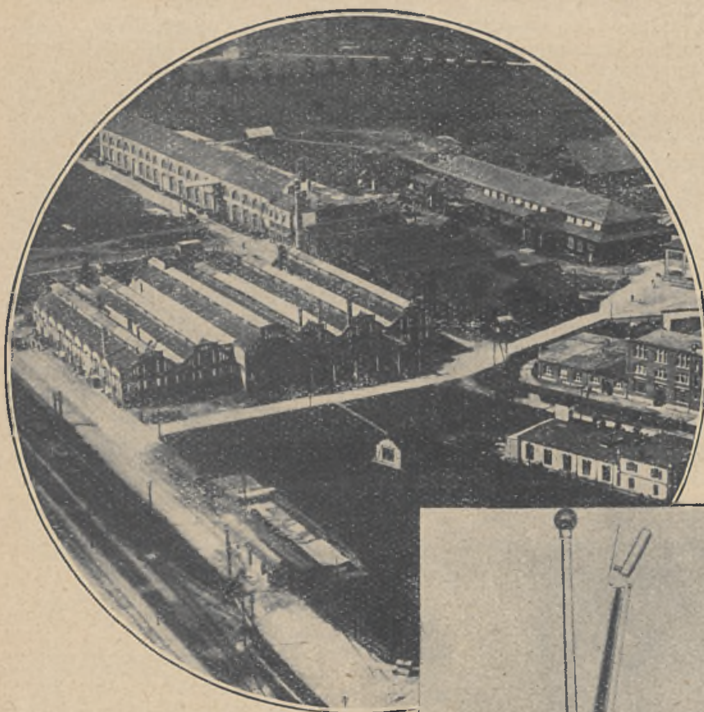
Samochody z silnikami Diesla

Przeciętny pasażer, odbywający podróż autobusem, mało interesuje się tem, jaki motor ukrywa się pod maską, kto go skonstruował i ile wysiłku poświęcili technicy na to, by stworzyć nowe arcydzieło mechaniki. Może jest w tem racja; pasażera interesuje przedewszystkiem wygoda, szybkość, bezpieczeństwo podróży, no i cena przejazdu, gdyż inaczej woli wybrać mniej dogodną, lecz tańszą komunikację „podmiejskiemi samowarkami". W praktyce, i to specjalnie u nas, koszt przejazdu autobusem lepiej opłaca się, niżli koleją; oszczędność ta wszelako może drogo kosztować, jakoże jazda w połamanym ,nadwyrężonym i przepełnionym wehikule nie należy do bezpiecznych. Wyczyn ten nasuwa mimowoli myśl o ubezpieczeniu się od wypadku.

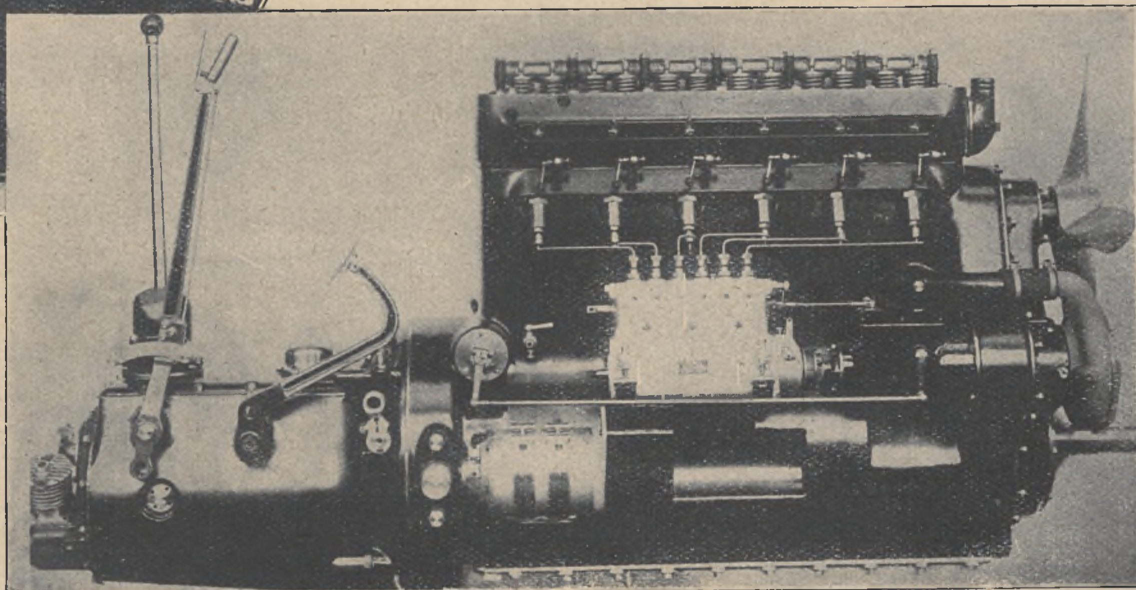
Koszt lokomocji autobusowej jest znaczny, a chcąc zapewnić podróżnym wygodę i bezpieczeństwo, musi się oszczędności czynić na paliwie. Samochód benzynowy jest luksusem, utrzymanie więc linji autobusowej na właściwej wyżynie, możliwe jest tylko wtedy, gdy frekwencja tej linji jest równomierna, gdy wozy są stale pełne w obie strony i tak duże, że koszta ogólne maleją, zależnie od pojemności autobusu. Małe autobusy są nieekonomiczne, i właściciel ich musi oszczędzać, głównie na remontach, oponach, tanich siłach obsługi, a te właśnie oszczędności sprzyjają katastrofom.

Rozwiązanie problemu oszczędnego paliwa, datuje się od chwili wynalezienia silnika przez genjalnego inżyniera niemieckiego Diesla, któ-

(Dalszy ciąg na str. 16-tej)



Widok ogólny zakładów Saurera.



Silnik Saurer-Diesel. Na pierwszym planie charakterystyczna pompa Bosch'a, wtryskująca paliwo w postaci olejów ciężkich, jak olej gazowy, olej łupkowy i t. p.

JERZY LEWESTAM

Cieniom wielkiego lotnika



Ś. p. major Idzikowski



Major Kubala, ranny, na pokładzie „Iskry"

W dniu 13 b. m. obchodziła Polska pierwszą bolesną rocznicę „Skoku przez Atlantyk".

Rok temu zmuszeni przez złe fatum, nawpół odurzeni gazami, wydzielającemi się z przeciwwybuchowej domieszki benzyny, z uszkodzonym silnikiem wskutek wadliwego działania magneta, polscy majorowie Idzikowski i Kubala na płatowcu „Marszałek Piłsudski", rozbijają się o skalistą wyspę Graciozę.

Radjostacje wszystkich krajów powtarzają hiobową wieść:

Major Idzikowski zabity, major Kubala ranny. Hallo! Straszna katastrofa polskich lotników na Azorach.

Zaczerniły się kirem szpalty pism. Wielkie rotacyjne maszyny dzienników wypluwały z wściekłą furją nowinę tragicznego finału lotu, w którym pokładano tyle nadziei. Setki tysięcy dodatków nadzwyczajnych poruszyły masy.

Skończone. Tyle ambicji, tyle dumy narodowej.

Z wspaniałego orła białego został tylko bezwładny stos pogiętego żelastwa.

ŻAŁOBA wionęła na podniecone tłumy!

Jeden z „nieustraszonych" poniósł śmierć.

*

Życie robi swoje. Powoli zaczęto zapominać. Stopniowo, coraz mniej mówiono o wielkiej romantycznej imprezie polskich lotników.

Niekiedy rodziły się pytania. Niespokojne. Ciekawe.

Dlaczego znów nie lecą? Wszak został drugi? Czy może być piękniejsza propaganda Polski?

Wreszcie i to ucichło. Drapieżna codzienność odwróciła uwagę społeczeństwa od powietrznych wyczynów.

I nagle teraz, kiedy wszystkie niemal dzienniki przypomniały światu, że minął już rok od czasów transoceanicznej tragedji, poczęto interesować się znowu. Co? Jak? Dlaczego? Czy Polska już ostatecznie spasowała z lotu Europa — Ameryka, długością trasy dowodząc Amerykanom, że i my w łonie swem mamy takich Kinsford Schmith'ów. Co robi ten drugi — Kubala?...

*

Major Kazimierz Kubala wychodził właśnie z kościoła, gdzie przed chwilą celebrowano nabożeństwo za spokój duszy ś. p. mjr. Idzikowskiego. Widać było, że wspomnienie kolegi i całe to fjasko tak wielkich rojeń, które tam w świątyni odżyło, pokrywa chmurą smutku czoło dzielnego lotnika. Pomimo pozornego spokoju znać, że mjr. Kubala jest nieswój i przygnębiony.

— Kiedy lecimy, majorze? — pytam.

— Lecimy... — powtarza jak echo pilot — pan mówi jak ta mała dziewczynka z gimnazjum Królowej Jadwigi. „Żądam żeby pan leciał i zabrał mnie z sobą, to jest pana obowiązkiem". Nietylko obowiązkiem, ale i największym marzeniem, drogi panie. Wierzę jednak mocno, że uda mi się marzenie to spełnić.

— Dlaczegóż nie próbował pan szczęścia w tym roku?

— Och, dużo o tem mówić. Najważniejszą przeszkodą jest brak zezwolenia władz. Pieniądze na finansowanie znalazłyby się z pewnością. Nasi rodacy z Ameryki palą się do tego, więcej jeszcze finansiści nowoyorscy, w rozmowie ze mną zadeklarowali do pewnego stopnia gotowość udzielenia Polsce pożyczki w razie udanego lotu.

Niech pan pomyśli, co za świetna propaganda polskości w razie zwycięstwa. W kraju zbyt małą wagę przypisują może do tego transoceanicznego rekordu.

Towarzyszów mi nie brak wśród kolegów. Niejeden chętnie poleciałby.

Lecz wierzę mocno, o ile sprawa przelotu nie straci nic na aktualności, że uda mi się przezwyciężyć przeszkody i ruszyć znowu w drogę naszą starą trasą, dłuższą od tej, którą frunął dzielny lotnik brytyjski mjr. Kinsford Shmidt.

Przelecenie jej jest z całą pewnością zupełnie możliwe, zwłaszcza po ostatnich ulepszeniach technicznych.

Nie będę wówczas musiał rumienić się, że nie zginąłem.

Zwyciężę!

Powstał obecnie Komitet Utrwalenia Pamięci mjr. Idzikowskiego, do którego mam również zaszczyt należeć. Spłaci on dług społeczeństwa względem zmarłego lotnika.

Co do mnie, to muszę uczynić dla przyjaciela rzecz, o której roiliśmy razem i którą tam na Graciozie przysięgłem uczynić.

PRZELLECĘ! Jest to moim obowiązkiem. Winienem to cieniom wielkiego lotnika...

Belgrad, sokoli i zlot

(Dokończenie ze str. 10-tej)

ste są i skromne. Ale bije zewsząd moc narodowa, która nie ulękła się wziąć na barki tro ki o zjednoczenie wszystkich ziem serbskich i odegrać roli Piemontu jugosłowiańskiego.

Ludzie, którzy bywali w Belgradzie przed wojną światową, nie poznają dziś tego miasta. Sądzić należy, że za lat kilkanaście nie będą poznawali nowego pokolenia Jugosłowian, zjednoczonych, potężnych i gotowych do odegrania wobec ludzkości swojej roli dziejowej.

Nas, Polaków, w Jugosławji znają i kochają. Mimo zadawnionych wpływów rosyjskich, mimo olbrzymiej wprost ilości Rosjan - emigrantów, mamy tam wyborną markę. Robią nam ją w pierwszym rzędzie ci, którzy kształcili się w naszych uczelniach — Chorwaci i Słoweńcy. Byłoby ze wszech miar naszym interesem, aby podtrzymać te pielgrzymki naukowe Jugosłowian do starych naszych uniwersytetów.

Sztandar sokoli polski powrócił z Jugosławji przyozdobiony wysokiem odznaczeniem — komandorją orderu św. Sawy. Również minister francuski Morinaud zawiesił na nim w Belgradzie złoty medal zasługi na polu kultury fizycznej. Jest to odpowiedź dla wrogów sokolstwa, lękających się czerwonych koszul sokolskich i widzących w nich symbol „dzikości".

Wycieczka sokola nad Adrjatyk o mało nie zakończyła się tragicznie, wskutek katastrofy statku „Karadżordża". Na szczęście, śmiertelnych wypadków między Polakami nie było, niebezpieczeństwo zaś wykazało moc organizacji i dyscypliny sokolej.

Bardzo podkreślone były dwa momenty sportowe, będące dziełem naszych sokołów: grupa wioślarzy, przybyłych łodziami do Belgradu z Krakowa, oraz grupa kolarzy, przybyłych ze Skarżyska. Były to rekordowe rzeczy, które niewątpliwie znajdą swoje odbicie i należytą ocenę na łamach prasy sportowej.

Kobieta hinduska w świetle prawdy

(Dokończenie ze str. 3 ej)

który to wiek naznaczył rząd — będą już za stare.

Oświecona część społeczeństwa hinduskiego w walce tej rządu z barbarzyńskiemi zwyczajami ludu wydatną okazuje pomoc.

Niesłychanie godnym uwagi jest fakt, który zaszedł kilka lat temu, a który podważył stare, jak wierzenia hinduskie, uprzedzenie do wdów. Otóż, pewien uczony hinduski, ożenił się wbrew ogólnie przyjętemu zwyczajowi z wdową. Kroku tego omal nie przepłacił życiem: rozwścieczone tłumy chciały go ukamienować. Nieulękniony ten i szlachetny człowiek nie porzestał na tem: gorąco wziął sobie do serca los tych tak niesłusznie upośledzonych istot: przezwyciężywszy straszne trudności, zdołał w przeciągu kilku lat założyć szereg instytucyj, w których wdowy zajmują się pielęgnowaniem chorych, wychowywaniem dzieci, nauczaniem gospodarstwa, a mimo, że w tej dziedzinie mnóstwo jeszcze zostało do zrobienia, pierwsze, najtrudniejsze kroki uczyniono.

Jeśli w toczącej się obecnie walce w Indjach na śmierć i życie, Hindusi osiągną zwycięstwo, t. j. uzyskają niezawisłość pod względem ekonomicznym, jest nadzieja, iż kraj w przeciągu niedługiego czasu zdołałby się podźwignąć ze straszliwej nędzy, w jakiej jest pogrążony ten 300-miljonowy naród.

W związku z tem i kobieta hinduska odnalazłaby właściwą drogę, na wzór swych siostrzyc z Zachodu i Wschodu, stanie do pracy i walki o należne jej prawa.

W ostatnich miesiącach zwłaszcza zauważyć się daje, że nastąpiła radykalna zmiana w obyczajach kobiety hinduskiej. Stało się to za przyczyną Ghandhiego, który wciągnął kobiety do życia politycznego. Udział kobiety hinduskiej w manifestacjach i pochodach przeciwangielskich, to jej „wyjście na ulicę" jest punktem przełomowym, to pierwszy krok na drodze postępu.

Letnie kradzieże sezonowe

(Dokończenie ze str. 5-ej)

cięciu sznura, którym umocowane są na wozie rzeczy, a obliczony na spadnięcie jakiejś walizeczki— jest równie prosty, jak i skuteczny. Często rolę przecinacza spełnia tu jakiś chłopaczek, starający się wzbudzić mniemanie, że ot ze zbytków czepia się wozu, zabawiając się w ten sposób sztuką umiejętnego wykręcania się z pod bata furmana. Równie dobrą okazją jest zagadanie się służącej z furmanem, odejście obojga od wozu, albo i zgoła zdrzemnięcie się w trakcie monotonnej jazdy.

W szkicach Chętnika „Z Kurpiowskich borów", wśród szeregu przemiłych opowiadań, znajduje się z niezwykłym humorem opowiedziana gadka kurpiowska, jak to sprytny „warszawski" złodziej, spotkawszy jadącego wozem Kurpia, ściągnął mu z wozu żonę i odbiegł z nią na bok, licząc na to, że podczas, gdy gospodarz pobiegnie, aby odzyskać uprowadzoną w ten sposób małżonkę, wspólnikowi złodzieja uda się okraść wóz. Oczywiście, że z punktu widzenia naszego feljetonu, musimy to traktować tylko jako wartościową pod względem literackim gadkę ludową: zbyt wiele bowiem, sądzimy, ryzykowałby tu złodziej, że przemyślny Kurp wykorzysta tę okazję, aby pozbyć się swej połowicy raz na zawsze. Dlatego też, po tej dygresji literackiej, powracając do istotnych przestrzeżeń, jakieśmy powyżej podali, zwracamy jeszcze raz na nie uwagę Czytelnika: niechaj mu służą dla bezpieczeństwa jego własności.

Samochody z silnikami Diesla

(Dokończenie ze str. 14-tej)

ry zginął tragicznie w 1914 r. Silniki Diesla działają na nieco odmiennej zasadzie, niż silniki benzynowe. Paliwo do silnika Diesla zostaje wtryskiwane w momencie zapalania pod wielkiem ciśnieniem, poczem zostaje w tym momencie zgęszczone powietrze, rozgrzane do tak wysokiej temperatury, że paliwo rozpylone na mgłę, spala się bezdymnie.

Pierwsze silniki Diesla, wykonane dla celów przemysłowych i marynarki, w jednostkach bardzo dużych i ciężkich, nie nadawały się do lokomocji nawet do parowozów, ponieważ waga ich była zbyt wielka. Już po śmierci Diesla usiłowano w różnych fabrykach europejskich obniżyć wagę silników małej mocy, ostateczne rozwiązanie tego problemu nastąpiło wszelako dopiero po kilkunastu latach uciążliwych i kosztownych prób laboratoryjnych. Jedna z nielicznych na świecie fabryk, której ten eksperyment udał się doskonale, jest szwajcarska fabryka samochdoów ciężarowych Saurer.

Samochody Saurera pojawiły się w Polsce niedawno i wywołały zrozumiałe zainteresowanie w kołach fachowców i laików. Olbrzymi autobus, mogący wygodnie pomieścić 50 osób, posiada silnik, nie różniący się na pierwszy rzut oka niczem od silnika benzynowego, identycznej mocy. Pędzony jest ponadto ropą naftową, której cena jest trzy razy tańsza od ceny benzyny. Niezależnie od tego silnik Diesla jest ekonomiczniejszy od silnika benzynowego, dzięki czemu wyparł wszystkie inne silniki z zakładów przemysłowych i elektrowni, gdyż przeliczony na kalorje zużywa o 25% mniej materjału opałowego, niż silniki benzynowe, gazowe czy inne.

Przejazd samochodem Saurera na przestrzeni 100 kilometrów, przy dzisiejszych cenach ropy naftowej, wynosi zaledwie 9.80 zł. za zużyte paliwo, podczas gdy wydatek na zużytą benzynę i smary na tej samej trasie, przy silniku tej samej mocy, wynosi około 40 zł. W ten sposób samochód, przebiegający rocznie 300 dni na trasie 300 kilometrowej, daje 27.000 zł. oszczędności. Tak poważna oszczędność pozwala na szybkie zamortyzowanie kosztów kupna droższego wozu Dieslowskiego, i podniesie rentowność przedsiębiorstwa komunikacyjnego.

Słodycze a odżywianie

Pojęcia ogółu na ten temat są bardzo mętne. „Słodycze psują zęby" — słyszy się często takie zdanie, „słodycze wywołują kwasy" — głosi ktoś inny. Echa takich domorosłych sądów i przesądów odzywają się nawet w publikacjach. Nic bardziej bezpodstawnego i fałszywego. Już od XV wieku, kiedy poznano sposób otrzymywania cukru jadalnego z trzciny cukrowej, zajął cukier wydatne miejsce między potrzebami codziennego odżywiania, od czasu zaś, gdy zaczęto go wyrabiać na wielką skalę z buraków (r. 1801), wzrasta ogromnie spożycie cukru.

W buraku najważniejszą część stanowi miąższ, w którym roślina gromadzi cały zapas swojego pożywienia, nadewszystko zaś cukier i różne ciała białkowe. Wszystkie te składniki odgrywają ważną rolę w odżywianiu człowieka.

Poza pobudzaniem wydzielania śliny, ogromnie ważnego dla trawienia, ma cukier pierwszorzędną wartość energjotwórczą, jako zwiększający sprawność i odporność organizmu ludzkiego, a przechodząc pod wpływem soków żołądkowych w glukozę, jest łatwo strawny. Przyjmowany zaś w wielkich ilościach jest nieocenionym środkiem tuczącym, w normalnym natomiast użyciu nie wpływa zupełnie na tuszę.

Jak wiadomo, jeden z potężnych nowoczesnych środków leczniczych, nie dający się w wielu chorobach niczem zastąpić — stanowi insulina. Otóż ostatnio stwierdzono, że organizm ludzki sam przez się zdolny jest wytwarzać insulinę, perjodycznie, podczas trawienia, w szczególności podczas trawienia cukrów. Ponieważ insulina, poza działaniem leczniczem, ma również własność silnego pobudzania apetytu, zaleca wielu wybitnych lekarzy spożywanie codziennie rano, naczczo, filiżanki mocno osłodzonej herbaty, co niezmiernie pobudza uczucie głodu nawet u chorobliwie pozbawionych apetytu.

Cukier posiada również doniosłe znaczenie czynnika, usuwającego zmęczenie fizyczne, wywołane przez gromadzenie się w organiźmie ludzkim kwasu mlecznego. Przyrównując organizm ludzki do maszyny, można powiedzieć, że cukier jest idealnym paliwem dla naszych mięśni, przyczem czerwone ciałka krwi odgrywają rolę ognia do spalania go, rozprowadzają bowiem za pośrednictwem płuc tlen po całym ciele. Nadmierna, wskutek wzmożonej pracy mięśniowej potrzeba tlenu, wywołuje nagromadzenie się kwasu mlecznego w przeciążonym pracą mięśniu. Kwas mleczny zatruwa organizm, co objawia się w postaci silnego zmęczenia. Wówczas to właśnie występuje dobroczynne działanie cukru, co wielkrotnie stwierdzono u sportowców, a zwłaszcza u żołnierzy podczas forsownych marszów.

Kawałek cukru podczas zmęczenia czyni mięśnie na nowo sprawne.

Prócz tego stanowi cukier, jak wogóle węglowodany, złe podłoże do rozwoju mikrobów kiszek. Spożywanie większej ilości cukru zabezpiecza skutecznie przed zabójczą florą kiszkową, jaka wytwarza się wskutek przeładowania djety mięsem, rybami, jajami etc. Cukier zatem winien w naszem odżywianiu odgrywać wydatniejszą rolę, niż to się dzieje dotychczas.

Forma słodyczy jest obojętna. Czy to w stanie czystym, czy też w postaci konfitur, kompotów, marmolad, legumin, napojów — zawsze oddadzą nam słodycze jednakową wielką przysługę.

Dr. S. P.

Impresje teatralne

TEATR POLSKI: „Przygody dzielnego wojaka Szwejka", sztuka w 3 cześciach (16 obrazach) podług powieści Jarosława Haszka. Opracowanie sceniczne Marjana Hemara. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Karola Frycza.

Już dawno nie śmiano się tak długo, serdecznie i nieustannie w Teatrze Polskim, jak na „Szwejku". Ale był to śmiech osobliwy. Taki, że możnaby o nim napisać studjum psychologiczne, niemniejsze i równie interesujące a głębokie, jak „Le Rire" Henri Bergsona...

Śmiech, który chciał wykrzesać Haszek, i co mu się tak wyśmienicie udało, jest śmiechem „prawdomównym", mającym na celu „ridendo dicere verum", a jako że „prawda w oczy kole", był zarazem śmiechem „zabójczym" w myśl „le ridicule tue".

I jeszcze wiele cech możnaby temu śmiechowi przypisać: że był „dezynfekcyjnym", „pedagogicznym", „uzdrawiającym", „rozjaśniającym". Śmieliście się, śmieliście się, a pomyśliście, z czego się śmiejecie? Z was samych... Z was, coście się dali otumanić frazesom, „niewzruszonym zasadom", pięknym słówkom... I nie wy tylko... Cały świat...

Wielkiej rzeczy dokonał mądry a dowcipny Czech — Jarosław Haszek. Za jednym zamachem, jednym wielkim pociskiem „gazów śmieszących" zwalił w gruzy jeden z największych bastjonów przesądów ludzkich. Przesądów, które pewnego pięknego lata 1914 r. kazały nagle całemu światu rzucić się na siebie, jak zgrai zgłodniałych wilków, aby... chyba tylko, aby przyznać rację maksymie, że „homo homini lupus est". Haszek to wykpił, wydrwił, ośmieszył do cna i osiągnął tym prostym sposobem, czego nie zdołały wieloletnie kongresy pacyfistów. Trzeba było widzieć ów marjonetkowy „marsz na Białogród", wspaniale zainscenizowany, i słyszeć te huragany śmiechu, które się przytem rozlegały. Panie Haszek, nie damy panu teraz spokoju! Czas na inne przesądy, które też zmiażdżyć należy. „Noblesse oblige". O listę niech się pan zwróci do naszego kochanego Boya'-Żeleńskiego. A gdy ta lista się wyczerpie, mam jeszcze parę rozkosznych przesądzików w zapasie....

Radowała się dusza, słuchając bajecznych opowiastek Szwejka, radowała się tem bardziej, że ten jeden wielki monolog teatralny w 16 odsłonach wygłaszał artysta tak genjalny, jak Stefan Jaracz. Jakaż to potęga talentu aktorskiego. Już sam ton jego głosu, taki poczciwie płaczliwy, dobrodusznie-skomlący, rozbrajający bezradny, żałośnie szczery... trafia do serca i porywa skuteczniej, niż tubalny, patetyczny, chrapliwy głos niektórych wielkich „tragików".

Jaracz posiada w najwyższym stopniu dar wcielania się całkowitego, bez reszty, w odtwarzaną postać. Dlatego jest taki wzruszający, przekonywujący, porywający...

Jego koledzy nie szczędzili wysiłków, aby być godnem tłem dla jego popisów aktorskich. Niektórzy dali nawet świetne epizodziki. Przedewszystkiem Wyrwicz, jako „Oberstabsarzt", dzięki któremu scena z „symulantami" stała się najzabawniejszą z całej sztuki. A potem: Mierzejewski z Dziewońskim, Dominiak, Małkowski, Michalski i wiele innych. Panie — nie miały tu wiele do roboty. Ale Munclingrowa zdążyła dać soczystą groteskę, Jarkowska — dowieść, że dyrekcja niesłusznie ją przez cały sezon „ciemniła" (niby dżokiej Pasternak konie bersonowskie), Śląska — że urodziła się w odpowiednim momencie: o ile jest jej olśniewająco pięknie w toaletach nowoczesnych, o tyle w staromodnych — zupełnie nie do twarzyczki. Chleba i igrzysk... pardon: roli i toalet dla tej fenomenalnie czarującej artystki!

Reżyserja, przekład, dekoracje — znakomite. W teatrze tłok, jakiego najstarsi bileterzy nie pamiętają...

H. L.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ARYTMOGRYF

					1					
				2	3	1				
			4	5	6	2	1			
		2	7	1	4	2	1	8		
	9	1	7	1	5	6	10	1	5	
9	4	6	11	12	13	7	13	14	15	1
	2	1	5	1	5	13	10	15	1	
		9	3	16	17	18	19	15		
			9	1	7	20	1			
				11	17	9				
					4					

Cyfry zastąpić literami. Środkowe litery wyrazów, czytane z góry ku dołowi, utworzą nazwisko wielkiego mędrca.

Znaczenie słów (poziomo)

1. Samogłoska
2. Lód
3. Malarz
4. Bić brawo
5. Prowincja Rzymu
6. Nauka
7. Objaw psychopatyczny
8. Szlagier
9. Roślina (drzewo)
10. Narzędzie rolnicze
11. Spółgłoska.

ZADANIE KONIKOWE

dzie	od	kre	o	ta	skie	na	szedł
gó	kręn	na	go	mo	do	resz	Z mor
mę	i	ry....	ma	Cy	krwa	i	a
tu	ry,	ja	ce	mu	ła	mi	z niem
Wi	tu	ne	wpo-	wo	jusz	wył	Ci
wzno	jak	słoń	mu	um	się	dzi	tra
wstą	cher	nierz	ce	gen	za	śmier	za
Żoł	szą	pił	z try	sztur	fem	pię	cho

Obejść powyższy kwadrat ruchem konika (skoczka szachowego), stając na każdem polu tylko jeden raz tak, aby utworzył się wyjątek z Mickiewicza.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z niniejszego n-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 ZŁOTYCH

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 30 lipca b. r.

NAGRODY

Za rozwiązanie kwadratu magicznego z n-ru 26 otrzymają:

nagrodę 25-złotową p. Bolesław Mikołajczyk, Kamienica Polska, poczta Poraj.

Książki otrzymają pp.: Philosoph von Moltschanoff, Dzisna, gimnazjum państwowe.

ROZWIĄZANIE ZADANIA KONIKOWEGO z Nr. 27:

Odroczenie sesji sejmowej;

Wstąpienie księcia Karola na tron rumuński;

Ewakuacja Nadrenji przez wojska francuskie.

KWADRAT MAGICZNY

W drugim wierszu druga litera powinna być *u* zamiast *a*. Wobec tej poprawki przy losowaniu nagród będą uwzględnione trafne rozwiązania zadania konikowego.

m a s k a
a u t o r
s t o r a
k o r e k
a r a k i

KRONIKA SZACHOWA

TURNIEJ W ZOPPOTACH

zakończył się świetnem zwycięstwem mistrza Warszawy, Paulina Frydmana, który zdobył I nagrodę.

TURNIEJ O PUHAR NARODÓW W HAMBURGU

rozpoczął się w dn. 12 lipca. Polska drużyna występuje w składzie: Rubinstein, Tartakower, Przepiórka, Makarczyk i Frydman. Najpoważniejszymi konkurentami naszej ekipy są reprezentacje Austrji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Jugosławji.



GEORGE M. SAVILLE.



Pocałunek

Streszczenie poprzedniego rozdziału.

Irena Guarry, żona wielkiego lyońskiego przemysłowca, kocha się w Henryku Dubail, młodym i sławnym adwokacie paryskim. Miłość ich datuje się jeszcze od czasu, gdy ona była jeszcze skromną nauczycielką, a on studentem. Mąż Ireny, podejrzewając, że go zdradza, wynajmuje detektywa, który ma ją śledzić. W Irenie kocha się również syn państwa La Salle, Piotr.

II.

Place tennisowe Lyons Sport Klubu skąpane były w jasnych promieniach słonecznych. Był to jeden z tych pięknych dni wiosennych, które same przez się utrwalają się w pamięci, zwłaszcza, gdy jest to dzień pasjonującego turnieju. Siedząc pod ocieniającą całą jej osobę parasolką, Irena Guarry, równie urocza w swej skromnej sportowej sukience, jak poprzedniego wieczoru, w balowej toalecie, spoglądała bezmyślnie na grę, tocząc się przed jej oczami i cedziła zwolna jakiś chłodzący napój. Myśli jej były przy Andrzeju Dubail, towarzyszyły mu w drodze do Paryża, dokąd uciekał przed niebezpieczeństwem ich wzajemnej miłości.

Wtem Piotr, zdyszany, rozgrzany jakimś bardzo interesującym game'm, podbiegł do niej.

— Czy wolno włożyć w prasę pani rakietę? — spytał.

— Oczywiście. Bardzo dobrze pan grał, panie Piotrze. Przypatrywałam się pańskiej grze z zajęciem.

Młody człowiek promieniał. Starannie wkładając rakietę Ireny w prasę, rzekł:

— Jutro wracam do szkoły, proszę pani.

— Czy chętnie, panie Piotrze? — Irena zadała to pytanie bezwiednie niemal, myśląc wciąż o Dubail u, o jego wyjeździe z Lyonu.

— Dawniej ani chętnie, ani z przykrością, ale w tym roku nie chce mi się bardzo wracać do szkoły.

Irena miała się już uśmiechnąć, ale spojrzenie w oczy tego chłopca, iskrzące się szczerą, głęboką miłością, zmusiły i ją do powagi. Odczuła że ją kochał naprawdę i że rozstanie z nią, wywołane koniecznością powrotu do szkoły marynarskiej, było dla niego niemniejszą tragedją, jak dla niej wyjazd Dubail'a. Mimowoli żal jej się zrobiło chłopca.

— O, panie Piotrze, łatwiej panu przyjdzie obejść się beze mnie, niż pan przypuszcza— rzekła. — Zapomni mnie pan w parę dni.

— Nie. Nie zapomnę pani ani teraz, ani nigdy w życiu — odrzekł Piotr ze stanowczością.

— Z jaką pewnością pan to twierdzi — szepnęła Irena.

— Jestem tego pewien. Nigdy dotychczas nie widziałem takiej kobiety, jak pani, lub choćby podobnej.



...Irena zaczęła rozpaczliwie walczyć... *(f. Metro).*

— Nawet podczas pańskiego pobytu z ojcem w Paryżu?

— Nigdy, nawet w teatrze!



...skierowała wylot broni na Guarrego... *(f. Metro).*

Na to oświadczenie Irena wybuchła głośnym śmiechem i, pod pretekstem zainteresowania się grą, usiłowała skierować rozmowę na temat obojętny. Ale Piotr mówił dalej:

— Chcę prosić panią o wielką łaskę — zawahał się na chwilkę. — Czy da mi pani swoją podobiznę?

Irena miała już odpowiedzieć odmownie, gdy nagle uderzył ją intensywny wyraz oczu, z jakim Piotr czekał na jej decyzję. Ostatecznie, pomyślała, nic to nie szkodzi, że mu dam fotografję; głośno rzekła:

— Dobrze, będzie pan miał moją podobiznę, skoro panu na niej zależy. Przyjdzie pan do mnie dziś wieczorem, około ósmej i dam panu cały stos fotografji do wyboru.

— Doprawdy?... Jana pani dobra!...

— Tak, ale nie zabawi pan u mnie długo. Ojciec pański powiedział mi, że jutrzejszy pociąg, którym pan wraca do szkoły, odchodzi bardzo wcześnie.

— Odejdę, kiedy pani zechce. Czem to dla mnie będzie mieć na ścianie, w swoim pokoju, pani fotografję!

— A teraz ja muszę już pójść — rzekła Irena, wkładając lekkie okrycie, — może mnie pan odprowadzić do samochodu, jeśli pan ma ochotę.

Wstała i skierowała się do auta pana Guarry, stojącego u końca alei. Piotr wziął jej rakiety do ręki i towarzyszył posłusznie, drżąc cały wewnętrzną radością z powodu przyrzeczonej mu fotografji.

W samochodzie zastała Irena swego męża. Po chmurnym wyrazie jego fizjonomji domyśliła się, że coś go nurtuje. Nie wiedziała, że przychodzi on właśnie z biura swego przyjaciela, La Salle'a. Gdy ona przyglądała się zapasom tenisowym, on — Guarry — stacza walkę o swe istnienie businessmana.

Przyciśnięty do muru wskutek szeregu niepomyślnych inwestycyj Guarry, chociaż był w interesach konkurentem La Salle'a, zwrócił się do niego, starszego od siebie, jako do ostatniej deski ratunku. Poprosił go o pożyczkę kilkumiljonową, a potem czekał na odpowiedź La Salle'a z niemniejszem natężeniem, aniżeli Piotr na odpowiedź Ireny w sprawie fotografji. La Salle okazał się więcej, niż szlachetnym. Ofiarował się, że dostarczy Guarry'emu potrzebnych pieniędzy prosząc, by Guarry przyszedł do niego wieczorem tegoż dnia po kolacji, ażeby sprawę pożyczki ostatecznie załatwić.

Zdenerwowany, upokorzony tą rozmową, Guarry zachował uporczywe milczenie przez całą drogę, prowadzącą do ich mie-

szkania, wzdłuż czystych, szerokich bulwarów Lyonu. Napróżno Irena starała się zagaić rozmowę.

Przybywszy do domu, Irena, rozumiejąc, że mąż przetrawia jakieś ważne, ciążące mu, zagadnienie, przezornie zostawiła go samego i udała się do swoich pokojów, gdzie pozostała do godziny obiadowej. Podczas posiłku próbowała wszystkiemi sposobami, wiadomemi powabnym niewiastom, oderwać go od jego trosk i w pewnej mierze udało jej się to. Gdy przyszła chwila pójścia do La Salle'a, Guarry był całkiem pogodnie usposobiony.

Irena pocałowała go w drzwiach, gdy wychodził, przyczem zauważyła, że podniósł rękę do serca, jakby dla stłumienia bólu, zapytała więc:

— Czy znowu serce ci dokucza, Karolu? Możebyś zatelefonował do pana La Salle i zaproponował odłożenie tej konferencji do jednego z najbliższych wieczorów, gdy ci będzie lepiej?

— Nie, tak źle nie jest, — odpowiedział pan Guarry z westchnieniem przeczącem słowom, bo poczuł ból przy wkładaniu palta, — to przejdzie a z panem La Salle muszę się koniecznie widzieć dziś wieczór. Nie wrócę bardzo późno.

Zamknął drzwi za sobą. Irena usłyszała hałas motoru i skrzypienie piasku pod kołami potężnej maszyny, ruszającej z miejsca. Powróciła do swego buduaru i wtem przypomniała sobie, że Piotr przyjdzie po fotografję; otworzyła szufladkę swego biurka i wyjęła z niej pół tuzina swoich podobizn.

Spojrzała na zegarek: za parę minut Piotr powinien nadejść; Irena usiadła wygodnie na sofie, zapaliła papierosa i zaczęła czytać książkę. Czuła się bardzo dobrze, uspokojona i orzeźwiona. Przez otwarte okno francuskie wchodził z ogrodu chłodny powiew. Pogrążyła się w czytaniu tak, że straciła rachubę czasu.

Piotr, umieściwszy swój motocykl w ogrodzie pod ścianą domu, poszedł ku wejściu; przechodząc, zobaczył Irenę przez okno, siedzącą w swoim pokoju i zamiast obejść dom i wejść według pierwotnego zamiaru przez drzwi frontowe — z błyskawiczną decyzją wpadł przez okno balkonowe i stanął przed Ireną.

— Hallo! — uśmiechnęła się Irena. — Mąż mój tylko co poszedł do pańskiego ojca, panie Piotrze!

— O! to znaczy, że jesteśmy sami — wykrzyknął nietaktownie Piotr.

Irena uśmiechnęła się na tę uwagę.

— Oto są fotografje, panie Piotrze, niech je pan weźmie do światła i wybierze, która się panu najbardziej podoba.

— Dzięki.

Piotr przysunął się bardzo blizko do Ireny, ażeby być tem samem jak najbliżej światła, w ręku trzymał fotografje. Irena pragnęła móc czytać dalej wysoce interesującą powieść; rzuciła okiem na książkę, którą wciąż jeszcze trzymała na kolanach i po chwili czytała znowu, pochłonięta treścią aż do zupełnego zapomnienia o obecności młodego człowieka. Nareszcie, Piotr wybrał jedną z fotografji.

— Prosiłbym o tę oto — wyrzekł nieśmiało.

— Ależ dobrze, panie Piotrze, niech ją pan zatrzyma.

— Oprawię ją w ładną ramkę i zawieszę na ścianie w moim pokoju. Wszyscy koledzy będą mi zazdrościli, gdy zobaczą!

— Miło mi, że mogę panu sprawić tę przyjemność — odparła Irena.

— Pragnąłbym prosić panią o jeszcze jedną łaskę, zanim odjadę.

— Mianowicie?

— Czy wolno mi pocałować panią?

Irenę bawiła ta prośba: było w niej tyle patosu i naiwności. Można mu chyba zrobić tę wielką, wielką przyjemność, cóż to szkodzi?...

— Dobrze — rzekła — pocałuję pana w tych drzwiach.

Piotr zbyt był uszczęśliwiony i wzruszony, aby słowo móc wymówić. Bardzo nieśmiałemi ruchami skierował się do szklanych drzwi prowadzących do ogrodu. Irena pierwsza stanęła w tych drzwiach i czekała na niego z łagodnym, przyjaznym uśmiechem na ustach.

*

W drodze do La Salle'a, Guarry uczuł, że często go nawiedzający ból w okolicy serca wzmaga się gwałtownie. W końcu zrezygnował z walki z cierpieniem coraz to mocniejszem i zanim samochód skręcił w aleję, przy której znajdowała się willa La Salle'a, zapukał w szybę dzielącą go od szofera i kazał wieźć się do domu zpowrotem.

Szofer zahamował raptownie, cofnął maszynę i zaczął manewrować, ażeby zawrócić na stosunkowo wązkiej drodze. Guarry znowu zapukał w szybę. — Niech pan objedzie, wjedziemy od strony ogrodu — powiedział. — Chcę się dostać tamtędy do siebie, nie niepokojąc pani.

Samochód pomknął bulwarem w kierunku willi Guarry'ch.

*

Irena czekała w drzwiach, prowadzących do ogrodu idącego ku niej Piotra. Teraz, gdy nadszedł dla niego ten uroczysty moment, Piotr był onieśmielony i zażenowany. Niezgrabnie objął wpół Irenę i pochylił się ku niej, by ją pocałować. Usta jej były zimne pod jego wargami, ale ciepło jej ciała, rozkoszne wyczucie jej piersi, gdy ją do siebie przyciskał doprowadziły namiętność chłopca do szału. Orjentując się, że to, co dla niej było dowodem życzliwości, rozpalało w nim coraz silniejszą żądzę pieszczot, usiłowała Irena odsunąć go od siebie i uwolnić się z jego objęć. Opór jej do reszty podniecał chłopca, który uścisk zacieśniał. Irena zaczęła rozpaczliwie walczyć, w walce tej nieznacznie zasunęli się w głąb pokoju i znaleźli się znów przy sofie. Irena próbowała zachować równowagę i utrzymać się na nogach, ale Piotr był silny na swój wiek i w mgnieniu oka rzucił ją na kanapkę, okrywając twarz jej i szyję gorącemi, szaleńczemi pocałunkami.

*

Z głębi ogrodu Guarry zobaczył swoją żonę całującą się z Piotrem. Obecnie, wchodząc po cichu do pokoju zastał ich jedno w objęciach drugiego na kanapie. Nieartykułowany ryk wściekłości wydobył się z jego zduszonej krtani. Żyły na czole nabrzmiały mu strasznie, niczem sznury, — wyraz ostatecznego napięcia pasji. — Irena i Piotr zerwali się na równe nogi. Irena próbowała tłomaczyć mężowi:

— Nie rób głupstw, Karolu. Nie myśl, że...

Głos jej podniecił Guarry'ego do czynu. Odepchnął ją tak brutalnie, że upadła na podłogę, a wówczas chwycił Piotra za gardło. Przerażony chłopak nie probował nawet się bronić. Guarry trząsł nim jak jamnik szczurem. Irena z rozszerzonemi nienormalnie oczyma powstała z ziemi machinalnym ruchem i uczepiła się ramienia męża.

— Karolu, proszę, błagam cię, posłuchaj!

Guarry podniósł ramię, by ją odsunąć, ale tem samem przez sekundę jedną tylko ręką trzymał Piotra i był zwrócony do żony. Piotr wyzyskał tę chwilkę wyrwał się i zaczął uciekać. Ale nieprzytomny ze strachu, ścigany ciężkiemi krokami starszego od siebie Guarry'ego, omylił się i zamiast otworzyć drzwi wyjściowe, wpadł do bibljoteki. Był uwięziony.

Guarry dopadł go tu: jedną ręką chwycił go znów za gardło żelaznym uściskiem, drugą zaś począł bić go po twarzy, niebawem pokaleczonej i broczącej.

Irena pobiegła za obu mężczyznami i znów usiłowała powściągnąć Guarry'ego. Odrzucił ją z taką szorstkością, że runęła z hałasem na półki, o które się zatrzymała. Prostując się po tym pół-upadku, ujrzała jak Guarry, chwytając ciężki, żelazny nóż do papieru celuje nim w głowę Piotra. Szuflada, w której trzymał zazwyczaj rewolwer była otwarta. Nie, nie pozwoli, by zabił Piotra! Prawie mimowoli, jak lunatyczka, sięgnęła po rewolwer do szuflady i z krzykiem „Stop!" — skierowała wylot broni na Guarry'ego. Nie słyszał. Już koniec noża po zatoczeniu łuku nad jego głową, dotykał skroni Piotra, — nastąpił wystrzał. Okrągła plamka czerwona wystąpiła na czoło Guarry'ego. Zachwiał się, zatoczył i upadł ciężko na posadzkę.

Piotr w panicznym popłochu uciekł. Wtedy dopiero Irena uprzytomniła sobie, że przez cały ten czas dzwonił telefon; machinalnie zdjęła słuchawkę i przyłożyła do ucha.

(D. c. n.)

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JERZY RADLICZ

NA MARGINESIE POPISU SZKOŁY BALETOWEJ

Już od wielu dziesiątków lat w teatrze Wielkim, a przedtem gdzieindziej, pracuje nieprzerwanie warszawska szkoła baletowa, będąca dziś już jedną z niewielu w Europie, kultywujących czysty klasycyzm baletowy. Niejedna już wybitna tancerka, niejeden słynny tancerz wyszedł z tej szkoły. Niektórzy zyskali nawet renomę światową. Wynikałoby z tego, że szkoła prowadzona jest znakomicie. A jednak ileż to jeszcze ulepszeń możnaby do tej szkoły wprowadzić! Powiększyć przedewszystkiem liczbę nauczycieli, aby nie przeciążać ich uwagi. Przecież niesłychanie doniosłą rzeczą jest, aby nauczyciel czuwał nad pracą każdego ucznia z jednakową starannością, w obecnych warunkach zaś jest to zupełnie niemożliwe. Stawia się najzdolniejsze jednostki w pierwszym rzędzie i na te się zwraca uwagę, reszta ma tylko niewolniczo powtarzać ruchy, wykonywane przez pierwszy rząd. Jak to robi, tego już nauczyciel nie dostrzega i nawet przy najlepszych chęciach dostrzec nie może. Zresztą, gdyby nawet chciał indywidualizować, nie mógłby — czasuby nie starczyło. Jedyne lekarstwo — powiększyć liczbę wykładających, aby na każdą tancerkę czy tancerza przypadało więcej uwagi pedagogicznej. Na każdej lekcji trzeba każdą i każdego nieustannie poprawiać, uczyć, pokazywać, jak robić należy, bo gdy początki będą złe, trudno już potem będzie naprawić zło.

A uważać przecież trzeba na tak wiele rzeczy. Na dokładny układ nóg, na pozycje rąk, na szereg specyficznie klasycznych wymogów, jak czystość „pointes", wyprostowanie podbicia, kolan, kręgosłupa, następnie na jak największą rozwartość nóg („en dehors"), cechującą przecież wszystkie pięć pozycji (a u nas za mało przestrzeganą), słowem, na bardzo wiele rzeczy. Skutki zaś są takie, że nawet wybitne tancerki zginają kolana wyciągniętej nogi w „arabeskach", a o nieschodzeniu z miejsca przy „fouetté" wogóle mowy niema. W Rosji robiono stale „fouetté" nawet ,jak to tam nazywano: „na plewkie", to znaczy na miejscu, które nie zajmowało więcej przestrzeni, niż ślad od splunięcia. Właśnie „na plewkie" robiła Karsawina w „codzie" z „Jeziora łabędziego" 32 „fouettés", u nas robi primaballerina — siedem i... pół, ponadto latając przez pół sceny. Nawet Irena Szymańska, znana specjalistka od tego „pas" ,nie dalej, jak kilka dni temu w Łazienkach zrobiła ich 16 w tańcach z „Trubadura" na przestrzeni conajmniej dwóch metrów, jeśli nie więcej. Najwybitniejsze również tancerki nasze nie potrafią zrobić ładnej serji „grand jetés", tej najpiękniejszej bodaj z figur tańca klasycznego. Elewacja zazwyczaj szwankuje, o należytej „préparation" i powrocie do pozycji pierwotnej wogóle się nie myśli. To samo przy piruetach.

Mało tego: ktoby to uwierzył, że absolutnie nie pracuje się nad umuzykalnieniem. Kierownictwo twierdzi, że i bez tego obchodził się szereg pokoleń, więc i teraz niema poco wprowadzać do programu np. rytmiki. I ku swemu pohańbieniu dodaje, że n. p. pierwszy tancerz Dąbrowski nie posiada „za grosz" słuchu, a jednak daj Boże każdemu tak tańczyć, jak on. Pomijając już, że jeszcze nikt nic na uczeniu się czegokolwiek nie stracił, pozwolimy sobie zapytać, o ile lepiej tenże Dąbrowski tańczyłby, gdyby słuch posiadał, gdyby mu go w szkole wykształcono. Czy to nie wstyd, że wiele osób w balecie warszawskim nie wie nawet, co oznaczają takie słowa, jak: „takt", „rytm", nie odróżniają całych nut od połówek, ósemek od szesnastek i t. d.? To, co potrafią czteroletnie dzieciaki w szkołach rytmiki, tego nie umieją tancerki i tancerze na stanowiskach w teatrze Wielkim. Nie ich wina, oczywiście, bo ich tego nikt nie uczył — wina kierownictwa, a właściwie programu szkolnego.

Obecnym absolwentkom możemy przepowiedzieć bardzo piękną przyszłość artystyczną. Nieraz już miałem możność wyróżniania Marysi Nobisówny, która dzięki swej ujmującej twarzyczce, zgrabnej figurce, sprawności technicznej i niewątpliwym talencie jest bardzo pięknie wschodzącą gwiazdką na firmamencie baletu polskiego.

Dotyczy to w niemniejszej mierze wiotkiej i smukłej Tosi Nowickiej, która jeszcze przed popisem zasłużenie była wysuwana na czoło, jako tancerka zupełnie już odpowiedzialna.

Patrząc na Marysię Kłosińską, oczom się nie wierzyło, że to ta sama, niegdyś taka powolna, pulchna „kulka", przeobraziła się nagle w piękną tancerkę, łączącą wyrobienie techniczne z powabnym urokiem zakwitającej kobiecości, wielce istotnej w tańcu klasycznym.

Wreszcie, Władzia Vetterówna, która wszakże wybrała sobie taniec zbyt trudny, przewyższający możliwości „palcowe" tej przemiłej, zresztą tancereczki i niepotrzebnie pomniejszył jej sukces, który w tańcu łatwiejszym uwydatniłby się niewątpliwie, gdyż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest to tancerka naogół sumienna, pracowita i niepozbawiona zdolności.

Henryk Liński.



Dyrektor szkoły baletowej przy Teatrze Wielkim — Piotr Zajlich — w otoczeniu tegorocznych absolwentek: Marysi Kłosińskiej, Maryli Nobisówny, Tosi Nowickiej i Władzi Vetterówny oraz pierwszego absolwenta — Mikołaja Korpińskiego.

(fot. Malarski).

PRZYKRA W SKUTKACH

bywa dla wielu pań zmienna pogoda wiosenna. Niebo bez chmur, słońce grzeje i zachęca do wyjścia do figury bez parasolki. Nagle — gwałtowna ulewa i piękne powiewne szaty wiosenne zmarnowane. Stąd nowy kłopot finansowy. A więc znów jeden z wielu przykładów, że wybór barwnych tkanin z bawełny, sztucznego jedwabiu lub lnu, farbowanych „Indanthrenami" — przynosi dużą korzyść. Gdyż ani jaskrawe słońce, ani ulewny deszcz nie szkodzą tkaninom, barwionym „Idanthrenami". Można je także bez obawy prać — barwy nie ucierpią na tem. Nieznaczna nadwyżka w cenie opłaca się stokrotnie. Można ją raczej traktować, jako koszt ubezpieczenia ubrania i bielizny. Barwne tkaniny ze znakiem ochronnym „Indanthren" są zabezpieczone od szkodliwych wpływów pogody i prania.



TRAGEDJA W MIASTECZKU

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Rogowym budynkiem na zbiegu ulic: Rynkowej i Warszawskiej jest bóżnica.

Ber Sztrumpf — stary Żyd, właściciel największego szynku w miasteczku — spojrzał na niebo i ujrzawszy pierwszą, ledwie — ledwie widoczną gwiazdę, powiedział uroczyście:

— Sabat.

Blisko miał od swego murowanego domu do bóżnicy.

Krótki odcinek ulicy Warszawskiej.

Szedł wolno, poważnie — że to piątek wieczór — że nie praca powszednia, a — obowiązek radosny.

Mija dom fotografa Spólskiego.

Co to???

Z domu fotografa wybiega człowiek.

Drzwi za sobą pozostawia otwarte.

Krzyczy:

Księdza!... Księdza!...

Furtka zatrzasnęła się.

Człowiek zgrzyta zębami i rzuca się na drzewo. Rwie. Chciałby gryźć.

Sztrumpf poznaje.

— Władysław Zgierz, nauczyciel przyrody — znany w miasteczku ateista...

Pomaga otworzyć furtkę.

— Gdzie tu ksiądz mieszka? Ksiądz? Ksiądz? Ksiądz?...

Stary Żyd widzi obłąkane oczy, lęka się i ustępuje z drogi szaleńcowi.

Krzyczy za nim:

— Prosto, prosto — za górką!...

Człowiek pędzi.

*

Pierwszy zobaczył Sztrumpf.

Głośnym krzykiem zaalarmował sąsiadów fotografa.

Potem przybył przodownik policji i doktór.

Potem wreszcie ksiądz i on... — Władysław Zgierz.

*

Sędzia śledczy patrzy badawczo na oskarżonego.

Spazm wstrząsa potężnem ciałem Zgierza.

— ...Piliśmy... opowiedziałem mu wszystko... jak było między mną a Ireną... jego żoną... — piliśmy... — płakał... Potem całował się ze mną — „przyjacielu drogi, — mówił — wiedziałem wszystko już dawno... kochacie się... niech wam Bóg błogosławi" — ... — Piliśmy znów... Potem gryzł palce... potem wołał Irena! Irena!... Potem... — piliśmy znów... — a potem... powiedział:..., ja ...odejdę..." — wstał... — siedziałem jak sparaliżowany — ...wstał... wziął kieliszek— „Wasze zdrowie!..." krzyknął... wypił, postawił kieliszek.... zaczął się śmiać strasznie, nieludzko... podszedł do szafy, otworzył... — nie mogłem ruszyć się z miejsca — ...wyjął rewolwer... „Patrz!" krzyknął i — ...strzelił...

Zgierz oparł czoło na dłoniach.

Wielki mężczyzna płakał.

— Niech się pan opanuje — mówi sędzia — a co zrobił z rewolwerem?

...Z rewolwerem?... pyta oskarżony — „z rewolwerem... — powtarza, — osłupiałemi oczyma patrząc na sędziego — ...po strzale schował go na to samo miejsce skąd wziął... — do szafy"

Sędzia notuje.

....„A potem — wolno mówi Zgierz — potem siadł przy stole i ciągle śmiał się. Chciał jeszcze pić. Wziął butelkę, ale już sił mu nie starczyło. Butelka wypadła mu z ręki. Wtedy dopiero zdołałem zerwać się z miejsca...

— Dlaczego pan wołał księdza, pan—ateista?

— Nie wiem... może dlatego, że Spólski wierzył... że to było samobójstwo...

*

Dowód winy:

1) Stosunek miłosny pomiędzy Zgierzem a Ireną — żoną nieboszczyka i antagonizm (w rozumieniu sądu) stąd płynący pomiędzy mężczyznami.

2) Stan psychiczny oskarżonego (silne zdenerwowanie) w chwili, gdy wchodził do domu nieboszczyka (zeznanie św. Arnolda).

3) Rewolwer, z którego padł strzał śmiertelny, został znaleziony w szafie.

Oraz wiele drobnych poszlak.

Teza obrony:

1) Przyjaźń pomiędzy mężczyznami — mimo wszystko do ostatnich dni przed śmiercią Spólskiego trwająca (stwierdzili świadkowie).

2) Rodzaj i kierunek strzału (bliskość — osmalona koszula i t. p.), suponujące raczej samobójstwo, aniżeli zabójstwo.

3) Opinja, jaką cieszył się oskarżony (łagodny, dobry, spokojny człowiek).

4) Wrażenie prawdomówności, jakie wywarł oskarżony na sędziach.

Brak zdjęcia daktyloskopijnego rewolweru.

*

Opinja biegłych przeważyła szalę.

Powołani lekarze wykluczyli możliwość, by Spólski po zadaniu sobie strasznej, śmiertelnej rany w serce, mógł zachować tyle jeszcze przytomności, tyle poprostu siły życiowej, by schować rewolwer do szafy i szafę zamknąć.

Zapadł wyrok sądu okręgowego w mieście prowincjonalnem.

— **12 lat ciężkiego więzienia.**

*

W skupieniu przysłuchują się sędziowie Sądu Apelacyjnego w Warszawie wywodom biegłego — profesora medycy sądowej.

Co wykluczyli lekarze prowincjonalni, okazało się w wyniku najnowszych badań naukowych najzupełniej możliwem i prawdopodobnem.

Przyzwyczajenie — podświadomy odruch psychiki, której świadomość opuszcza ciało z krwią uchodzącą z przebitego kulą serca — trwa.

Trwa do ostatniego momentu uciekającego życia.

Ekspert orzekł, iż możliwem jest w świetle nauki, by samobójca, po śmiertelnym strzale schował, nakazem przyzwyczajenia wiedziony, rewolwer do szafy, i szafę zamknął.

...I Sąd Apelacyjny, uchylając wyrok sądu okręgowego, wydał **wyrok uniewinniający.**

I. E.

M. KURLETTO

Jeden dzień wśród leśnych boginek



Drużyna „leśnych bogiń" ciągnie do obozu.

„Leśna bogini" przed szałasem.

(Wrażenia z żeńskiego obozu W. F.)

Jak Polska długa i szeroka, na Podkarpaciu, Polesiu, nad morzem, na zachodzie i w centrum kraju, gdzie tylko lokalne warunki sprzyjają — wyrastają w lipcu i sierpniu ,jak grzyby po deszczu, liczne obozy wychowania fizycznego młodzież płci obojga . Inicjator tych obozów — Państwowy Urząd W. F. — nie szczędzi trudu i pieniędzy, by dziesiątki tysięcy młodzieży przenieść w okresie po temu najodpowiedniejszym, z dusznych miast na łono natury, w lasy i nad rzeki, gdzie po 4—6 tygodniowym pobycie krzepnie ciało i dusza młodzieży, nadwerężona pracą szkolną, bądź też zawodową. Bo trzeba wiedzieć, że obok obozów szkolnych, obozów stowarzyszeń sportowych i t. p., organizowane są obozy niezrzeszonej w żadnych związkach sportowych młodzieży robotniczej, która, pracując i bytując w ciężkich warunkach — kto wie, czy właśnie nie najwięcej potrzebuje pokrzepiającego, chociażby krótkiego odpoczynku.

Kto widział bladą młodzież, przybywającą do obozu i zdrową, wesołą, na bronz spaloną po parotygodniowym pobycie pod namiotami, może tylko cieszyć się, że dożyliśmy chwili kiedy troska o stan fizyczny pokoleń, wydaje z roku na rok, coraz lepsze rezultaty!

*

Los zrządził, że musiałem odbyć małą inspekcyjkę w jednym, o parę godzin jazdy koleją od stolicy położonym, obozie żeńskim.

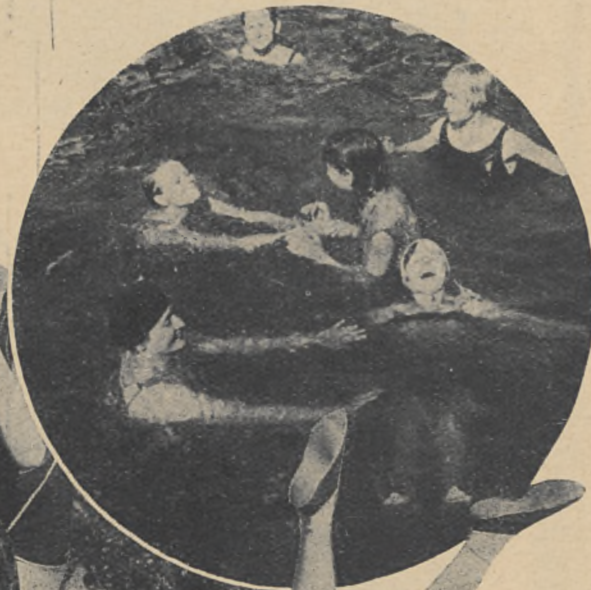
Wyprostowawszy nogi, odetchnąwszy świeżem powietrzem po opuszczeniu wagonu, w którym jakaś starsza pani za żadną cenę z powodu „cu-



Uproszczona toaleta poranna — przy studni.



Padnij — wstań!... Niczem męska wiara...



Żadna komenda nie obowiązuje podczas pływania.



Harmonja przy wspólnej misce.

gów" nie pozwoliła odemknąć nawet górnego wentylatora, poczułem się nareszcie wolnym człowiekiem, zrywającym z ochłapami t. zw. cywilizacji i przesądów, człowiekiem ciągnącym w las do obozu!!

Otoż i on — obóz, wśród najwspanialszego lasu sosnowego, prześwietlony gorącem słońcem — wentylowany chłodnemi wietrzykami.

Jakżeż tu miło i chłodno, nawet przy 26 st. C. Zupełnie inaczej, jak w mieście — gdzie nieruchome, przepojone kurzem i benzyną, powietrze, wyciska przy tej samej temperaturze i tej samej ilości wiatru, ostatnie resztki wodoru z naszego organizmu.

Stukam do furty obozu — raz, drugi, trzeci...

Jakby z ziemi nagle wyrosła, zjawia się „służbowa" w krótkich spodenkach sportowych, białej koszulce z emblematem sportowym Związku Strzeleckiego — bosonoga klucznica.

— A pan do kogo?

— A do was... służbowo... do obozu...

Słowo to podziałało piorunem. Za chwilę staję w towarzystwie tego żeńskiego Piotrusia przed obliczem samej komendantki.

Wyspowiadawszy się z mych zamiarów — otrzymałem glejt jednodniowego pobytu na terenie obozu — ja, jedyna dusza w długich męskich spodniach.

Właśnie rozpoczął się dzień obozu! Godzina 6 rano. Ostry gwizd sygnałówki. Z pod otwartych nagle płacht namiotowych — wyłaniają się zwinne, biało-bronzowe postacie, wycierając oczy piąsikami i mrużąc je mocno z nadmiaru światła.

Rozespane jeszcze ciała i mózgi przyzwyczajają się do rzeczywistości dnia, a właścicielki tego żywego bronzu, jak koty z przymrużonemi oczyma wyciągają się w miękkim rannym świetle. Sygnał i ostra, jakby męska komenda: Zbiórka! — przecina leśną ciszę. W mig ustawia się dwuszereg. Baczność! Kierunek boisko— pluton marsz!

To na 20-minutową gimnastykę — bo od tego rozpoczyna się dzień. Idę za nimi i podziwiam, mimo krótkiego czasu szkolenia oddziału, dużą jego sprawność oraz energję i umiejętności instruktorki, trzymającej mocno oddział w ręce...

Szybko mija czas i wesoła piosenka obozowa kończy ranną „ruchawkę". Ida teraz w ruch kubły i miednice. Dużem powodzeniem cieszy się obozowa pompa. Następuje generalne ranne mycie. A wszystko, jak na ekranie, trwa krótko — tyle tylko, by można coś niecoś na kliszy uwiecznić. Za chwilę — spotykamy się przy smacznej, wonięjacej białej kawce i dużych bułach, bo bułkami tych tworów, 3—4 razy od warszawskich większych, nazwać nie można.

W mig pustoszeją stoły. Tu i ówdzie odchodzi reszta. Za chwilę niema nic i nikogo.

Błądzę po obozie, przepatrując jego zakamarki, patrzę, notuję w pamięci i na taśmie fotograficznej, wszystko, co godne spamiętania.

Odgłosy strzałów skierowują mnie na strzelnicę, gdzie nasze nowoczesne amazonki rozgrywają wśród gorączki i podniecenia ostatni konkurs obozu.

Inna grupa oddaje się o parę kroków dalej, na zielonym kobiercu boiska, lekkiej atletyce. Skaczą, biegają, rzucają, aż do lekkiego znużenia.

Godzinką teorji kończy się o godz. 11.30 — zajęcie.

Dobry obiad i poobiednia siesta ciągną się błogo do godziny 15. W międzyczasie nasze leśne boginki szyją, prasują, piszą, czytają i ucinają poobiednią drzemkę. Nikt tu nie narzeka, że utyje, że straci... figurę! Owszem, waga jest mile widziana.

— A teraz pójdzie pan z nami pewnie do kąpieli.

— Rozkaz, pani komendantko — z całą przyjemnością...

Nawiasem mówiąc nie miałem odwagi kąpać się w małem bajorku. Nie dlatego jednak, żebym się bał stosunku cyfrowego 30 : 1 i wielkiej w wodzie przewagi płci pięknej — ale, że pochodząc z gór, kocham kryształ wód przejrzystych i nie znoszę nizinnego żurku.

Żurek ten jednak nie przeszkodził młodym syrenom, które czuły się w nim doskonale — chlapały na wsze boki, jak młode kaczki, a piszczały, jakby je kto tępym nożem mordował...

Po tej wodnistej przyjemności — znów trochę pracy: zbieranie chrustu na wieczorne ognisko. Widać jednak, że las jest codziennie skrzętnie przeglądany, bo już niema co zbierać. Ofiarą padają zielone jałowce i dobre gałęzie drzew.

I znów jesteśmy w obozie. Na odpoczynek kapeczka teorji, a potem szlagier każdego dnia: gry sportowe, popis sprawności fizycznej i temperamentu. Granoby bez przerwy, bez wytchnienia, gdyby codziennie nie nadchodził nieubłagalnie zmrok — kończący homeryckie boje dwu sąsiadujących z sobą namiotów!!!

O zmroku przed namiotem komendantki służbowa rozpala ognisko.

Każdy, kto żywy — zasiada przy ogniu i śpiewa, co serce i dusza na język przyniesie.

— ...A w sercu pozostanie tęsknota... smutek... żal — skarżą się majestatycznej ciszy boru młode serca — pomne, że co piękne i miłe, tak szybko mija i, że gdzieś na dnie serca tli iskra smutku za tem, co już minęło i nie wróci.

Dzień w obozie skończony.

Jutro — po zdrowym, pokrzepiającym śnie — zawita na nowo.

Odjeżdżam, żałując, że nie mam o 20 lat mniej, i że za moich młodzieńczych lat nie znano tego mądrego wynalazku: obozów!!!

TO, TAMTO I OWO



Słynna studnia podhorecka, z której wodę czerpie się za pomocą deptania na kole. (Photoplat).

„MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI, LECZ KONIEC ŻAŁOSNY".

„POGRZEB" ALBERTA.

Znane te ogólnie słowa z bajki Krasickiego, rzadko kiedy mają lepsze zastosowanie, jak w poniższem opowiadaniu.

W jednym ze składów gastronomicznych w Berlinie zaszedł niedawno temu wypadek, którego którego akcja w pewnej części rozegrała się na cmentarzu, a epilog w sądzie ławniczym w Szpandowie.

Mimo, że mowa tu o cmentarzu, fakt ten wcale nie jest smutny, wywołał bowiem liczne objawy wesołości na sali sądowej.

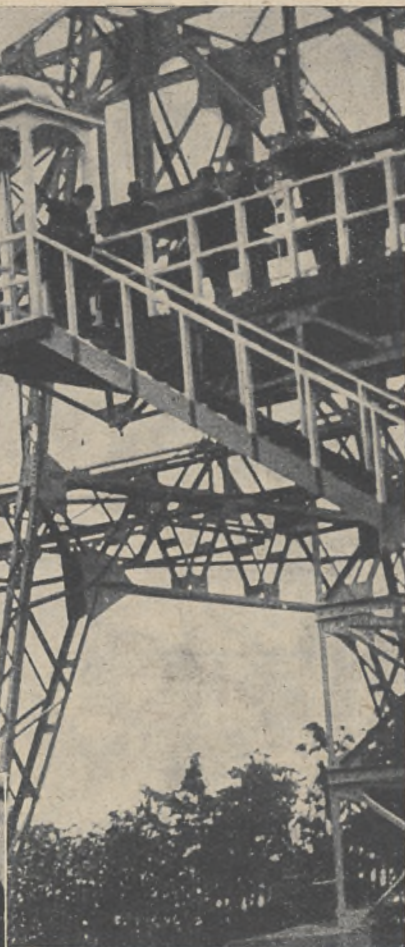
Otóż jednemu z pracowników wspomnianego zakładu gastronomicznego nagwałt potrzeba było pieniedzy. To może się każdemu przytrafić. Skąd wziąć, a nie kraść? Mądry człowiek potrafi osiągnąć korzyści z każdej przydarzającej się sytuacji. Nasz kelner wykorzystał w tym wypadku chorobę jednego z kolegów, by otrzymać upragnioną gotówkę. Oświadczył więc wszem wobec, że biedny Albert (ów chory kolega) po ciężkich cierpieniach rozstał się z doczesnością. Jak wiadomo, w takich razach kupuje się wieniec. Datki posypały się hojnie i powędrowały do kieszeni naszego bohatera, który podjął się zakupu wieńca; on też miał na pogrzebie reprezentować ogół kolegów restauracyjnych. Nie obyło się w tym wypadku omal bez katastrofy: szefowa, w uznaniu zasług zmarłego pracownika, kupiła na własną rękę wieniec, który panna bufetowa, wespół z pomysłowym kolegą zanieść miała na cmentarz. Tak się też stało.

I to niebezpieczeństwo przeszło jakoś: wprawdzie panna bufetowa nie mogła wyjść z podziwu na widok, iż imię nieboszczyka „Albert" zamieniono na Ottona, jak również obecność księdza katolika, podówczas, gdy zmarły był ewangielikiem, oraz samych stolarzy i ani jednego kelnera. Kobieta jednak daje się łatwo przekonać, gdyż umysł jej jest podatny na rzeczy nadprzyrodzone.

Było więc wszystko w najlepszym porządku — do czasu, aż tu, jak grom z jasnego nieba, zjawia się pewnego poranku domniemany nieboszczyk, rześki i zdrów, by podjąć na nowo przerwaną pracę. Łatwo zrozumieć konsternację współpracowników i szefowej na widok Alberta, jak również i chęć ich ukarania projektodawcy wieńca. Oddali sprawę do sądu. Wyrok opiewa na jeden miesiąc więzienia, który to łagodny wymiar kary podsądny zawdzięcza miłemu nastrojowi panów ławników. Jak zwykle, tak i w tym wypadku, prokurator okazał małe poczucie humoru: stawił bowiem wniosek o 4 miesiącach więzienia.

PODRÓŻ W TORPEDZIE







Oczywiście: ludziom, którzy się lada rok spodziewają lotu na Księżyc, czy na Marsa, którzy bez specjalnego wzruszenia mówią o locie transatlantyckim, telewizji i innych spowszedniałych niesamowitościach współczesnej techniki — ludziom roku pańskiego 1930 trudno jest zaimponować wiadomością, że w Wielkiej Brytanji podróżują sobie ludziska w torpedach. Cóż — torpeda, to torpeda... Podróżują sobie w łodziach podwodnych, w Zeppelinach, samochodami, po Saharze, to niech sobie trochę popodróżują w torpedzie.

A przecież nowość ta, wprowadzona dopiero co w Szkocji, może mieć pierwszorzędne znaczenie dla przyszłości kolei żelaznej. Kolej żelazna przeżywa obecnie kryzys. Coraz bardziej daje się jej we znaki konkurencja komunikacji autobusowej, znacznie bardziej elastycznej i wygodnej, często też — szybszej. W niedalekiej przyszłości grozi kolei żelaznej konkurencja samolotu, jako środka komunikacyjnego.

Powietrzny pociąg — torpeda należy do najnowszych środków lokomocji. Może on rozwinąć szybkość 240 kilometrów na godzinę. Jednocześnie zapewnia on pasażerom wielki komfort, a wobec tego, że komunikacja ta jest całkowicie zelektryfikowana i odbywa się na kilkumetrowej wysokości — oszczędza podróżnym dymu i kurzu, pozwalając rozkoszować się świeżem powietrzem i pięknością krajobrazu.

Co zaś najważniejsze — to znaczny wzrost bezpieczeństwa podróży zarówno dla pasażerów, jak i dla przechodniów. Pociąg-torpeda jest osadzony na szynach u góry i u dołu w ten sposób, że wykolejenie jest wykluczone, tak jak niemożliwe (narazie przynajmniej) jest zderzenie. O przejechaniu kogokolwiek mowy niema. Umieszczenie komunikacji na kilkumetrowem rusztowaniu metalowem ułatwia znakomicie ruch pieszy i kołowy na dole i oszczędza kosztów, związanych z krzyżowaniem się obecnie dróg żelaznych i kołowych. Warunki higjeniczne podróży nie pozostawiają nic do życzenia.

Jeżeli uruchomiona dopiero w Szkocji linja usprawiedliwi pokładane w niej nadzieje, to powietrzny pociąg-torpeda może w przyszłości całkowicie wyprzeć obecną kolej żelazną i lokomotywa, poczciwe zamorusane dziecię Stephensona, zajmie miejsce w muzeum, obok równie poczciwej szkapy.





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-44.